

**Stefan Kluczykowski**

**WSPOMNIENIA UCZESTNIKA  
II WOJNY ŚWIATOWEJ**





**Stefan Kluczykowski**  
**(1908 - 1999)**

***WOJNA - to słowo strasznie brzmi w naszych uszach!***

## Spis treści

Od Autora.....	1
Etap I. Obrona Ojczyzny.....	2
Etap II. W obozie dla internowanych.....	8
Etap III. Pawliszczew-Bor.....	12
Etap IV. Na polarnej północy.....	19
Etap V. Ponownie w Armii Polskiej.....	33
Etap VI. Niezupełnie wyjaśniona sprawa.....	49
Etap VII. Na kotle i żołdzie angielskim.....	61
Etap VIII. Powrót do Europy.....	81
Etap IX. Powrót do kraju.....	107
Szlak mojej wojennej tułaczki.....	111

## **Od Autora**

Urodziłem się w dawnej guberni kaliskiej 16 maja 1908 roku z rodziców pochodzenia robotniczego, ojca Walentego (1865 – 1932) i matki Józefy z domu Jagodzińska (1868 - 1921) zamieszkałych w konińskim. Mój akt urodzenia (oryginał) jest spisany w języku rosyjskim i złożony w USC w Kleczewie. Rejestr za rok urodzenia 1908/22.

Po odzyskaniu niepodległości Polski w 1918 roku moi rodzice przenieśli się do Wielkopolski – do miejscowości Różanna w powiecie mogileńskim. Tam spędziłem moją młodość, tam chodziłem do szkoły jednoklasowej. W dniu 28 czerwca 1922 roku zostałem zwolniony z uczęszczania do szkoły, otrzymałem świadectwo szkolne nr 1825 z ogólną oceną „DOBRY” podpisaną przez nauczyciela szkoły pana Leona Puchałę.

Po odbyciu służby wojskowej w 1931 roku ożeniłem się z Zofią Gorzkiewiczówną – córką Szczepana, pracownika kolei i jego małżonki Marianny z domu Kinowska. Z naszego związku małżeńskiego urodziło się troje dzieci: Barbara, Hieronim i Ryszard. Cała trójka jest usamodzielniona – na swoich domowych ogniskach.

Okres II wojny światowej spędziłem tak, jak opisałem w niniejszej książce. A okres po wojnie już w Polsce Ludowej – pracowałem w kilku zakładach pracy. Ostatnie 20 lat przed emeryturą pracowałem w gospodarstwie szkolnym w Państwowym Technikum Rolniczym w Bielicach. Obecnie jestem na emeryturze.

*Stefan Kluczykowski, Gębice, 1975*

## **Etap I. Obrona Ojczyzny**

Już na początku wiosny 1939 roku było widać, że coś się w polityce psuje. Otóż bardzo dużo mężczyzn powoływano na ćwiczenia wojskowe. Ćwiczenia te w zasadzie nie miały być dłuższe niż 4 do 5 tygodni każdy turnus, jednak znacznie przedłużały się, bo aż do sierpnia włącznie. Z tego już było widać i wszyscy głośno mówili, że wojna jest nieunikniona.

Pracowałem na Polskich Kolejach Państwowych przy naprawie torów kolejowych w grupie ludzi posiadających na swych kartach mobilizacyjnych stawiennictwo w swych oddziałach „natychmiast”. Aczkolwiek to jeszcze mobilizacji nie było, chociaż w każdej chwili można było jej oczekiwać. Było południe dnia 24 sierpnia, dzień ten był bardzo gorący. Nagle na stację kolejową wjechał samochód z którego wysiadło dwóch urzędników z gminy, w celu wręczenia rezerwistom kart powołania. Stawiennictwo tych ludzi w oddziałach wojskowych było natychmiastowe. Odeszła więc większość naszych pracowników.

Ja i jeszcze inni moi koledzy z pracy pozostaliśmy na miejscu – nie zmobilizowani. Niepokoiła mnie myśl, czy o mnie zapomniano? Czy reszta pozostałych nie będzie brała udziału w obronie ojczyzny?

Kiedy byłem chłopcem ogarniała mnie myśl, że gdy dorosnę to będę żołnierzem, marzyłem aby walczyć, gdy zajdzie taka potrzeba. Za wszelką cenę pragnąłem służyć w wojsku, miałem wówczas osiemnaście lat. Potajemnie napisałem wniosek do Wojskowej Komendy Uzuppełnień o przyjęcie mnie na ochotnika do wojska. Wszystko to robiłem bez wiedzy mojego ojca. O wyrażenie zgody ze strony mojego ojca nie było mowy, gdyż byłem jedynym żywicielem w mojej rodzinie, mając na utrzymaniu dwie młodsze siostry i chorego

ojca – inwalidę. Trzy lata później, doczekałem się służby wojskowej, zostałem powołany do pułku piechoty w dużym i ładnym mieście wojewódzkim. W grodzie tym czułem się znakomicie, lecz w szeregu na wyboistym bruku pod komendą – straciłem chęć do sztuki wojskowej. I z tej też racji w żadnym wypadku nie mogłem się ruszyć z domu.

Minął tydzień i dnia 30 sierpnia nastąpił drugi rzut poboru do wojska. W tej grupie znalazłem się również ja, otrzymałem kartę mobilizacyjną do Pierwszego Pułku Piechoty Legionów w Wilnie. Natychmiast po otrzymaniu rozkazu wyjazdu i pożegnaniu się z żoną Zofią i dziećmi: córką Baśką lat 5 i synkiem Hirkiem lat 3, odwieziony zostałem samochodem, który był własnością Niemca obszarnika do stacji węzłowej Mogilno na pociąg relacji Toruń – Wilno. W Toruniu duże wrażenie na mnie zrobiła wielka ilość mężczyzn czekających na peronach na dalszą drogę do wyznaczonych garnizonów wojskowych w wschodniej Polsce. Po kilkunastu minutach został podstawiony pociąg towarowy relacji Toruń - Wilno mający około 70 wagonów, który był ozdobiony zielenią, które miały napisy: „Na Hitlera!”, „Na malarza!”, „Na Berlin!” Z Torunia pociąg wyjechał o godz. 17-tej, w którym znajdowało się według moje oceny około tysiąca osób ubranych po cywilnemu. Na stacji zostaliśmy pożegnani przez tłumy ludzi, którzy długo wiwatowali na nasz cześć.

Pociąg toczył się dalej, na małych stacjach nie zatrzymywał się. Koło południa dnia następnego tj. 31 sierpnia minęliśmy Warszawę. W stolicy na dworcu kolejowym wszędzie wielkie tłumy ludności w większości kobiet z dziećmi, stwarzało to sytuację przygnębiającą wszystkich.

Dnia 1 września o godzinie 4<sup>45</sup> Hitlerowskie Niemcy dokonują napadu na Polskę. Agresję rozpoczął pancernik „Schleswig-Holstein” kierując ogień swych dział na Polską placówkę wojskową w Gdańsku - Westerplatte.

W godzinach przedpołudniowych dnia 1 września nasz transport kierujący się na Białystok minął stację kolejową Łapy, gdzie z przyczyn fizjologicznych „podróżnych” pociąg nasz zatrzymał się na chwilę w szczerym polu, nagle usłyszeliśmy głośne wycie syren i jednocześnie wybuchy bomb lotniczych. Był to nalot na Białystok. Po pewnej chwili te same bombowce z czarnymi krzyżami nadleciały nad nasz transport dokonując bombardowania. W czasie tego nalotu kilka wagonów zostało rozbitych w wyniku czego rannych zostało kilkunastu naszych kolegów. Ten właśnie nalot przekonał nas wszystkich, że napad Niemców na Polskę rozpoczął się!

W czasie tej dwudniowej jazdy do Wilna co 40 minut mijał nas pociąg z wojskiem kierującym się na front. W transportach tych nie widzieliśmy ani czołgów, ani sprzętu zmechanizowanego, a tylko wozy – wozy chłopskie i konie w chomątach, oraz kuchnie polowe również o zaprzęgu konnym.

W czasie mego pobytu w Wilnie w dniach od 1 do 20 września miasto było bez przerwy bombardowane – nalot po nalocie. Były duże straty materialne. Głośniki radiowe umieszczone na dachach koszar bardzo często nawoływały: „Uwaga, uwaga! RWD nadchodzi!” to znowu „Uwaga, uwaga – przeszedł!”. I tak bez przerwy. Nasza obrona była bezradna – nasza stara broń CKM „Maksym” ciągle się zacinała – ich sprzęt bojowy działał znakomicie, latali bezkarnie, niszcząc wszystko co na swojej drodze napotkali.

Wilno było bardzo dużym garnizonem wojskowym z Dowództwem OK. nr III, toteż Niemcy go nie oszczędzali. Nasz batalion Legionów pod dowództwem płk. Obtułowicza miał do obrony przeciwlotniczej rejon miast w okolicach Karolinki, odpieraliśmy ataki lotnicze, lecz z powodu nieodpowiedniej broni – nie było zbyt wiele sukcesów.

Jak, w takiej sytuacji mogliśmy stawiać czoło wrogowi? A na kilka miesięcy przed wybuchem wojny byliśmy silni, zwarcie i gotowi! Nie oddać kawałka ziemi, a nawet guzika od munduru – głośiły afisze propagandowe. Mieliśmy nawet mieć doskonałą broń przeciwlotniczą i sposoby skutecznej walki z lotnictwem wroga, lecz tego wszystkiego nikt z nas na froncie nie wiedział.

W dniu 14 września naloty jakby nieco zmalowały. Postanowiono więc przerwucić nas za Wilię na Antokoł na ul. Borową. Tam, jak nas dyskretnie zorientował nasz dowódca ppłk Obtułowicz. Mieliśmy oczekiwać na transport kolejowy, którym mieliśmy być wysłani na front do rejonu wówczas jeszcze nie ustalonego. Nagle dnia 17 września nasze miasto, które było stale zaciemniane – raptownie zostało oświetlone. Dochodziły do nas z dala i coraz to bliżej strzały armatnie od naszego wschodniego sąsiada. Zadany nam został cios w plecy.

Otrzymaaliśmy rozkaz zajęcia stanowisk ogniowych na moście przy ulicy Kalwaryjskiej, obok naszej kompanii z prawej strony zajęli stanowiska artylerzyści 1-szego palu, z lewej mieliśmy broń przeciwpancerną. My piechurzy, otrzymaliśmy po 5 szt. amunicji do każdej ładownicy i mogliśmy tylko zmierzyć się z piechotą przeciwnika – nigdy z czołgami!



Strzały armatnie padały coraz bliżej nas, w wyniku czego została strącona wieża pobliskiego kościoła katolickiego. Jako szpica bojowa do miasta wjechały czołgi typu średniego, jeden z nich kierując się ulicą Lwowską natknął się na naszą załogę ppan., która drugim celnym strzałem uniemożliwiła dalsze posuwanie się stalowego rumaka, następny przy wymijaniu uszkodzonego czołgu potoczył się po skarpie i wpadł w nurty rzeki Wilii. Kiedy już zaczęło dobrze świtać w dnia 18 września otrzymaliśmy rozkaz przzerwania ognia – powód, brak amunicji.

Następny etap było wycofanie wszystkich oddziałów z miasta w kierunku na Miejszagołę. Na trasie ulicy wylotowej z miasta, którą posuwaliśmy się, na chodnikach leżały trupy naszych żołnierzy, jak się później dowiedzieliśmy legli oni z rąk miejscowych Żydów komunistów mieszkających w tej dzielnicy.

Kuchnie polowe o zaprzęgu konnym posuwały się w przyspieszonym tempie przed główną kolumną, miały za zadanie przygotować posiłek na wskazaną godzinę. W czasie marszu ciągle byliśmy nękani ogniem artyleryjskim, pociski padały tuż, tuż za ostatnią kolumną marszową – to w prawo, to znowu w lewo i tak na przemian. Maszerowaliśmy bez wytchnienia, często rozsypywani w tyralieri. Dopiero pod wieczór, na kilka kilometrów przed granicą, padł rozkaz:

– Tu okopać się – będziemy bronić się do ostatniego naboju!

Całą noc kopaliśmy rowy strzeleckie dla własnej obrony, a gdy zaczęło świtać otrzymaliśmy konserwy mięsne, jedna puszka o wadze 0,350 kg na dwóch ludzi. To był pierwszy posiłek po 43 godzinach marszu i dwóch nocy nie przespanych.

O godzinie 14<sup>00</sup> dnia 21 września przybyliśmy do naszej ostatniej polskiej miejscowości przygranicznej Papiernia, była ona obleżona tysiącami ludzi, wojskowych i policji oraz cywilnej ludności. Dowództwo naszego wojska pośpiesznie wysłało telefonogram do władz litewskich, na którego czele stał wówczas prezydent Anton Smetona, z prośbą o wyrażenie zgody na przyjęcie Polaków na zasadzie internowania w ilości około 35 tys. wojska i cywilnej ludności. Niebawem zgoda została przyjęta pozytywnie przez rząd litewski.

Rzekł wówczas do całości zgromadzonych nasz dowódca ppłk. Obtułowicz:

- Jesteśmy ostatnimi żołnierzami Polski, nasz wróg jest już u wszystkich bram Warszawy, kto chce niech idzie za mną!

Po chwili odpiął swój pistolet wraz z kaburą i odrzucił na bok od siebie. Tworzyły się grupy i grupki znajomych i nieznajomych współtowarzyszy niedoli naradzając się, co robić w tej dla każdego ważnej chwili. Wracanie do domu byłoby zbyt dużym ryzykiem, gdyż na zachodzie mieliśmy dwa fronty – bolszewicki i niemiecki, nam należy trzymać się „kupy”, przenikała nas nadzieja na utrzymanie się przy życiu. Inni, tj. mieszkańcy Wileńszczyzny rzucali broń i wracali do swoich domostw. Miejscowość litewska przy granicy polsko-litewskiej Szyrwinty i cała granica z Polską, była obsadzona wojskiem będących już w okopach, lufy ich skierowane były na towarzyszy ze wschodu.

## **Etap II. W obozie dla internowanych**

Przekraczaliśmy granicę z bólem w sercu, składaliśmy naszą polską broń na obcym terytorium. Po złożeniu jej wojsko litewskie obejmowało komendę nad nami prowadząc nas czwórkami do punktu zbornego w Ukmerge (Wiłkomierz w języku polskim), mijaliśmy różne wioski i osiedla, ludność tamtejsza bacznie się nam przyglądała – patrząc jak na wielkich zbrodniarzy, byli wrogo nastawieni do nas wszystkich, było widać po ich twarzach pewną radość z tego co nas spotkało, bowiem mieli dobrze w swej pamięci moment, kiedy gen. Żeligowski na początku lat dwudziestych wtargnął zbrojnie do Wilna i odebrał im to miasto leżące nad rzeką Wilią. W późniejszych rozmowach z Litwinami nie mogli oni nam tego zapomnieć, a niejednokrotnie pluli naszym w twarz – powtarzali z naciskiem: „Musu Vilnius”.

Nie wszyscy nasi żołnierze dobrze się prezentowali, bowiem dużo naszych kolegów nie było dostatecznie umundurowanych, dla wielu nie starczyło przyzwoitego, wojskowego ubioru – szli w mizernych, połatanych drelichach i płóciennym obuwiu, niekiedy tylko w koszulach i prawie boso. Wszyscy, jak jeden maszerowaliśmy z podniesionym czołem, by zamaskować nasz ból kraczącego się serca.

Z punktu zbornego Wiłkomierz wysyłano transporty kolejowe po kilkuset ludzi dziennie do obozów Rakiszki i Poniewież. Nasz grupa w całości została skierowana jako ostatnia do nadmorskiej letniskowej miejscowości Połaga. Kadre oficerską oddzielono. Mieszkaliśmy w kampingach zwanych pensjonatami. Dla naszej dawnej drugiej kompanii przydzielono „Pušyno Pensionatas” a nazwano go blokiem „64”, był on własnością Polaka obywatela litewskiego o nazwisku

Nowiskis. Stan naszej grupy wynosił 200 kilkunastu ludzi z komendantem grupy chor. Stanisławem Janickim, jego podwładni zostali rozdzieleni na pokoje kilkuosobowe na piętrze, natomiast większość została na parterze – na ogólnej sali, leżeliśmy na twardej podłodze bez żadnej podściółki. Wyżywienie, jak na warunki wojenne pod względem jakości i ilości było zadowalające. Miejsce poruszania naszego było nam ograniczone, i co pewien czas uszczuplane. Ulubionym miejscem spaceru wszystkich była plaża, molo, przyległy las sosnowy pachnący żywicą oraz kościół dostępny każdemu, ale w godzinach też wyznaczonych. Komendantem obozu był major Litwin pod jego nadzorem była kompania wojska, która z Polakami nie patyczkowała się. Dowodem tego była śmierć dwóch naszych kolegów, którzy zginęli od ich kul. W ciągu niepełnych 5 miesięcy pobytu w Połędzie obóz internowanych znacznie zmniejszył się ilościowo. Ludzi naszych ciągnęło do kraju, przeważnie nocą opuszczali obóz udając się przez Kłajpedę do Rzeszy. Niektórzy z uciekinierów, przeważnie ci z Królewca, dawali nam znać o sobie, przesyłane przez nich wiadomości były niewesołe, traktowano każdego jako jeńca wojennego, pracę mieli ciężką, a wyżywienie bardzo słabe. Do domu, jak mi było wiadome nikt nie został zwolniony. Nadmieniali, ostrzegając nas byśmy nie podejmowali podobnych decyzji – dodając do tego – „Kto ma chleb, niech bułek nie szuka”. Takie wiadomości aż nadto były wymowne. A więc naszej „kupy” powinnością jest – trzymać się!

Ze względu na ciężką zimę i związek z tym, że to była miejscowość letniskowa dla kuracjuszy w miesiącach od czerwca do września, a więc na okres zimy nie miała ogrzewania, postanowiono obóz ten przenieść do innej miejscowości. Jak z tego widać byli jeszcze

ludzie, którzy kierowali się humanizmem i na sam fakt, że Połąga nie odpowiadała warunkom przetrzymywania ludzi w porze zimowej obóz zlikwidowano.

Dnia 18 stycznia 1940 roku był silny mróz dochodzący do  $-40^{\circ}\text{C}$ , odwożono nas samochodami ciężarowymi na dworzec kolejowy Krytinga za opłatą od każdej osoby w wysokości 0,60 lita. W czasie tej podróży odmroziłem sobie lewe ucho, policzek i czubek nosa. Następnie pociągami towarowym przetransportowano nas do miejscowości Wiłkowyszek, gdzie następnego dnia tj. 19 stycznia po południu zostaliśmy wyładowani. Zakwaterowano nas w murowanych koszarach, były tam warunki dość znośne, było ciepło w salach, opalaliśmy je wydzielonym każdego dnia drewnem osikowym. Naszym komendantem pod względem porządku w bloku był chor. Olszowy.

Wiłkowyszki było miastem o zabudowie drewnianej, jak stwierdzili to koledzy, którzy je widzieli. Nasz nowy obóz opasany został kordonem litewskich pingwinów. Wewnątrz obozu panowała zupełnie harmonia polska, jedynie noce były dla nas plagą, szczególnie każdego wieczoru do północy prowadziliśmy walkę z różnymi insektami, jak pchły, pluskwy lub inne „gady”, które nam strasznie dokuczały - na początku nie mieliśmy na nie żadnego sposobu.

W obozie mieliśmy dobrze prosperujący sklepik-herbaciarnię. Kto oczywiście miał lity (pieniądze litewskie) mógł kupić ciasto, kanapki, papierosy i inne produkty. Pieniądze otrzymywali przeważnie ci, którzy mieli krewnych mieszkających na Litwie. Była też świetlica, w której toczyliśmy zażarte boje szachowe. Mieliśmy też urządzoną kaplicę obozową, w ołtarzu jej figurował obraz M.B. Ostrobramskiej, każdego dnia odprawiane były w naszych intencjach nabożeństwa

przez ks. kapelana Walczaka, w czasie których śpiewaliśmy: „Z tej biednej ziemi..., O Panie któryś jest na niebie... i wiele innych pieśni. Obchodziliśmy tam naszą pierwszą Wielkanoc na obczyźnie w dniu 24 marca 1940 roku, do dziś zachowałem ją w pamięci. W dniu tym dzienny posiłek nasz składał się: z wodnistej zupy, niewielkiej kromki czarnego chleba i jednego gotowanego jajka na osiem osób podzielonego (tu najwięcej u wszystkich było łoż).

Na początku naszego pobytu w Wiłkowyszkach w obozie dla internowanych w bloku nr 15, w który była nasz kompania, ludność polska mieszkająca w okolicach Kowna sprawiła nam wielką i nie zapomnianą radość, ofiarowała w darze odbiornik radiowy „Telefunken”. Radio to bowiem urozmaicało nam długie wieczory piękną muzyką i wiadomościami z całego niemal świata w kilku obcych językach, które były tłumaczone przez naszych kolegów znających te języki: Stanisław Ostrowski – rosyjski, Polikarp Berkowski – niemiecki, p. Marchewko – francuski i p. prof. Świętochowski – angielski. Z radia korzystaliśmy do czasu aneksji Litwy przez ZSRR w czerwcu 1940 roku, miesiąc później tj. 11 lipca nasz odbiornik radiowy na zawsze przestał nam grać, zostaliśmy bowiem wywiezieni na inny teren, na teren ZSRR do miejscowości Pawliszczew - Bor koło Smoleńska.

### **Etap III. Pawliszczew-Bor**

We Wiłkowyszkach, gdzie w koszarach mieścił się nasz obóz było nas około 5 tys. ludzi. Przed wymarszem z tego obozu wyprowadzono nas wszystkich na plac i dokonano rewizji: w ubraniach, w plecakach, chlebakach, odebrano nam wszystkie ostre i twarde narzędzia, jak noże, szczyryki, brzytwy, żyłетки, widelce. Ułanom ostrogi. Kiedy już było wszystko przygotowane do marszu, jeden z oficerów sowieckich głośno zaczął rozkazywać po rosyjsku, my tego nie rozumieliśmy i na pytanie:

- Wsio paniatno?

Odpowiadaliśmy:

- Nie!

Wtedy ktoś z naszych przetłumaczył treść rozkazu, a brzmiał on tak:

- Teraz pójdziecie wszyscy na stację kolejową, ostrzegamy was wszystkich, że za wystąpienie z szeregu, krok w prawo lub krok w lewo grozi wam kula w łeb – jasne?
- Tak jest, jasne – odpowiedzieliśmy.

Ustawiono nas dziesiątkami w zwartej kolumnie, otoczyli gęstą siecią konwojentów i ruszyliśmy w kierunku na stację. W ten sam sposób, wyprowadzono wcześniej grupę, która po przyjeździe nas na stację, była załadowana w wagonach i zamknięta na grube śruby, a wokół tych wagonów byli ustawieni żołnierze ze szpikulcami i bacznie ich strzegli. Nas również załadowano do wagonów w taki sam sposób, jak naszych poprzedników. Po załadowaniu wszystkich pociąg ruszył w dalszą drogę, wioząc nas w nieznaną, przez Kowno, Wilno i Mołodeczno. Tutaj oddzielono od nas szeregowych, wszystkich oficerów, księży, straż

graniczną i inne im wrogi grupy, a nas załadowano do wagonów 60 tonowych i po opuszczeniu stacji wyjechaliśmy na szersze tory. Teraz nasza trasa wiodła przez Mińsk, Smoleńsk, aż do stacji końcowej Babinowo.

W czasie tej podróży tylko dwukrotnie podano nam żywność, na którą składało się: sucha słońska ryba i suchary z czarnego chleba i nic więcej – nawet wody w małych ilościach nie podano. W tym czasie panowały bardzo duże upały. Byliśmy bardzo wyczerpani, szczególnie każdy pragnął choć kroplę wody do ust, nie mogliśmy w żaden sposób jej uprosić.

Na stacjach, gdzie trwały dłuższe postoje przeprowadzano rewizje osobiste obecnych, kontrolując również ściany i podłogi wagonów przez uderzanie młotem po ich powierzchniach. Ta czynność niejednokrotnie przebudzała ze snu zmęczonych i strudzonych tą jazdą. Natomiast w czasie jazdy pociągu odpoczynek był zupełnie wykluczony, ponieważ pociąg tak jechał, aby nam uniemożliwić jakikolwiek odpoczynek. Polegało to na tym, że często zwalniał, a po pewnym czasie znowu gwałtownie szarpał tak, że ci co spali lub leżeli na górnych piętrach wypadali na podłogę wagonu i często doznawali obrażeń głów lub innych części ciała.

Po prawie pięciodniowej takiej jeździe, pociąg „ciuremny” (więzienny) dojechał wreszcie do stacji kolejowej BABINOWO, a był to dzień 16 lipca 1940 roku. Po dwóch godzinach trzymania nas w rozpalonych od słońca wagonach, w godzinach południowych nastąpił rozładunek „niebezpiecznego elementu”. Tak byliśmy przez nich nazywani. Po wyładowaniu ustawiono nas po dziesięciu w kierunku marszu, na czele kolumny kroczył sztab NKWD (po polsku:



Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych). Prowadzono nas na przełaj, omijając miejscowości oraz lasy, aby bezpiecznie i bez przeszkód doprowadzić nas do celu.

Trasa długości 30 km wiodła po zasianych pszenicą i innymi zbożami polach, gdzie pozostały po nas ślady dziesięciu wydeptanych ścieżek. Cała kolumna otoczona była kordonem żołnierzy uzbrojonych w karabiny gotowych do natychmiastowego użycia. W odległości około 150 m od kolumny szły dwie drużyny posiadające broń maszynową oraz mające do pomocy duże psy wilczury, trzymane na smyczy. Takie ubezpieczenie miało im zapewnić bezpieczeństwo w razie, gdybyśmy podnieśli bunt lub byłoby inne niespodziewane działanie z naszej strony. W czasie sześciogodzinnego marszu mieliśmy dwie dziesięciminutowe przerwy na odpoczynek. Na rozkaz „stój!” – musieliśmy paść na ziemię, aby mieli oni lepszą obserwację. W godzinach przedwieczornych przekroczyliśmy trzy bramy silnie odrutowanego obozu, pod nazwą PAWLISZCZEWO-BOR.

Po wprowadzeniu nas do wewnątrz łagru, zauważyliśmy kilka dużych kadzi drewnianych napełnionych wodą, bez żadnego rozkazu rzuciliśmy się na nie by zaspokoić nasze pragnienie, w bardzo krótkim czasie zostały one opróżnione. Na kolację tego dnia otrzymaliśmy litr zupy – kaszy gryczanej i nie dużą skibkę chleba. Nie wszyscy tego wieczoru otrzymali kwatery pod dachem, część ludzi koczowała na placu pod gołym niebem, ponieważ kilku obór była jeszcze w remoncie.

Następnego dnia przed łaźnią odbywało się przymusowe strzyżenie – poleciały wszystkie brody, wąsy, czupryny i wszystkie włosy gdziekolwiek je człowiek miał. Kierownikiem łaźni była starsza i bardzo miła w rozmowie Rosjanka, na jej widok nasze chłopaki

krępowali się przy rozbieraniu. Łaźnia dla wszystkich była czynna trzy razy w miesiącu, również odwszawialnia była czynna do dezynfekcji brudnej odzieży. Gdy u kogoś znaleziono chociaż jedną wesz, to trzech sąsiadujących z nim kolegów z lewej i z prawej strony musiało oddać swoje rzeczy do dezynfekcji w parowniku.

Każdy z nas musiał stanąć przed aparatem fotograficznym, były wykonywane dwa zdjęcia – od frontu i z boku. Zdjęcia te żądało NKWD w celu wklejenia ich „w uczytnuje dzieło”, które było sporządzane na podstawie naszych zeznań. Ankieta posiadała kilkadziesiąt pytań i odpowiedzi, które dotyczyły nas i naszych rodzin, od daty urodzenia do czasu wybuchu drugiej wojny światowej, gdzie mieszkają, co robią, kto przebywa za granicą itd., itp.

Miejscowość Pawliszczewo-Bor do rewolucji należała do prywatnego właściciela, słowem był to kiedyś duży folwark. W późniejszym okresie wybudowany tu został kurort dla płucnochorych, zaś wszystkie budynki gospodarcze były zupełnie zdewastowane. Niektóre z nich dopiero w czasie II wojny zostały odremontowane przez nas i służyły jako kwatery dla jeńców polskich.

Po całym podwórzu stały pniaki przycięte na wysokości jednego metra. Dopiero „nasi”, gdy zostaliśmy tu przygnani to byliśmy zmuszeni do wykarczowania tych pniaków. Trzeba było wykopać taki pień a następnie wykopać głęboką dziurę i zakopać go tak, by nie był widoczny, była to dla nas bardzo ciężka praca. Codziennie na zmianę wychodziło 200 do pracy wewnątrz obozu i nie tylko, wychodziliśmy również i za druty kolczaste do innych prac – cały czas pod silną strażą, za to otrzymywało się do obiadu dodatkowo jedną łyżkę stołową kaszy na deser. Wyżywienie dla wszystkich było jednolite i wynosiło dziennie

80 dkg chleba, na obiad jeden litr zupy, na kolację herbatę bez cukru oraz dodatek jedną łyżkę stołową kaszy lub ziemniaków omaszczoną olejem roślinnym. Obiadowe zupy były zawsze takie same, zmiany następowały po 5-6 tygodniach tzn. jak kasza to kasza i tylko kasza – w tej kuchni urozmaicenia jadłospisu nie było. Dwa razy w ciągu naszego pobytu w tym łagrze otrzymaliśmy po 60 dkg cukru oraz cztery paczki (po 50 gr.) machorki z badyli i korzeni machorkowych.

Do naszej ochrony postawiony był oddział NKWD w sile około jednego batalionu, w tym było pięciu politruków w randze kapitan-major. Komendantem był oficer w randze pułkownika, nazwisko jego było mi nieznane. Władza łagru i bójcy nosili na czapkach otoki koloru ciemno - czerwonego. Chodzili bez naramienników. Oznaki stopni mieli: oficerowie – prostokąty, podoficerowie – trójkąty, noszone one były na kołnierzu rubaszki.

Całość ludzi w łagrze podzielona została na tzw. sotnie (sotnia - setka). Komendantami tych sotni byli Polacy znający język rosyjski. Oba zabory, rosyjski i niemiecki, były oddzielone od siebie pod względem kwaterunkowym, traktowanie obu grup było na równi. Cały łagier był silnie okolony trzykrotnym parkanem (identycznie jak w Oświęcimiu, z tą tylko różnicą, że tu nie był podłączony prąd elektryczny do niego), na narożnikach stały wieżyczki dla wartowników. Łączność telefoniczna łączyła wszystkie posterunki wartowników z Komendą NKWD. Prócz tego w ciągu nocy były bardzo często przeprowadzane kontrole tych posterunków. W lecie między parkanami, poletka były bronowane, zaś w porze zimowej pokrywał je śnieg. Patrole kontrolujące te pasy pilnie zwracały na to uwagę. Śladów przejścia

między nimi nigdy nie zauważono, ponieważ dla nas wchodzenie tam nie miało żadnego sensu.

Obóz jeńców Polskich w Pawliszczew-Bor trwał 10 miesięcy i 15 dni tj. od 16 lipca 1940 roku do 31 maja 1941 roku. W dniu 5 listopada 1940 roku władze NKWD podały nam swój adres – СССР МОСКОВСКИЙ ПОЧТАМТ ПОЧТОВОЙ ЯЩИК 11/Р 43 МОСКВА (po polsku brzmiał: СССР Moskiewski Pocztaamt Pocztowej Jaszczyk 11/R 43 Moskwa). Z powodu braku papieru wszyscy mieliśmy duże kłopoty by go otrzymać. Ci, którzy pracowali za drutami – w lesie postarali się o korę brzozową i na niej napisaliśmy listy i byliśmy pewni, że one dojdą do naszych najbliższych. Po dwóch godzinach zarządzono, by nasi komendanci sotni zrobili wykazy imienne dla całego stanu sotni. Nasz komendant Wiczerkiewicz zebrał listy i wykaz i szybko podążył do biura politruka. Według wykazu na cały stan sotni było kilka listów napisanych na papierze, a nieco więcej na korze brzozowej. Przy większości nazwisk były tylko kreski poziome – powód ludzie nie mają na czym pisać. Politruk obejrzał wykaz i powiedział:

- Tak nielzia - i rozkazał wydać bibułę gazetową.

Otrzymaliśmy wszyscy duże arkusze papieru do podzielenia się z kolegami. Listy napisane na korze brzozowej zwrócono nadawcom. Kleju nie otrzymaliśmy, zrobiliśmy go z ośrodka chleba plus własna ślina – w ten sposób, tak powstały potrzebne koperty. Były to pierwsze i ostatnie listy napisane na terenie Związku Radzieckiego.

Wczesną wiosną 1941 roku stawaliśmy wszyscy przed komisją lekarską składającą się z czterech lekarzy radzieckich. W ciągu ośmiu dni otrzymaliśmy każdy po cztery zastrzyki przeciwko tyfusowi i innym chorobom. Z tego było widać, że przygotowania zmierzające na jakiś

duży wysiłek i trud. Wszyscy byli zdolni do czegoś, nikogo nie zwolniono. Za drutami (na naszych oczach) stały magazyny napełnione kaszą, mąką, w pewnym momencie wszystko zostało gdzieś wywiezione, był to znak, że czeka nas zmiana miejsca postoju. Na środku obozu stał wysoki słup, na nim został umieszczony głośnik radiowy, dwujęzyczne dzienniki doskonale nas orientowały o sytuacji wojennej.

Odpowiedzi na wysłane do kraju zaczęły nadchodzić po trzech miesiącach, powiadomienie o odbiorze listu oznajmił bojec-goniec. Musieliśmy po odbiór stawić się osobiście i złożyć potwierdzenie za odbiór w kantorze NKWD, gdzie zostało odfajkowane – odebrał. Jeśli chodzi o cały stan ludzki w łagrze to tych listów było mało – niedużo. Ci, którzy otrzymali je były w nich zawarte różne treści, nieraz bardzo smutne i tragiczne, inne zaś – pocieszające, że „żyjemy wszyscy i jesteśmy na miejscu”. To niejednych cieszyło.

## **Etap IV. Na polarnej północy**

Dnia 31 maja 1941 roku o godzinie 1-szej w nocy zbudzono ze snu 50% ludzi w łagrze, a o godzinie 8<sup>00</sup> rano przed parkanem zebrał się cały sztab NKWD i cała kompania bojców, rozpoczęto urzędowanie. W pierwszej kolejce na literę „A” wywoływano np. Admowski, ten musiał jeszcze powiedzieć imię swego ojca, gdy się zgadzało – zabierał go bojec ze wszystkim co posiadał, odprowadzał za ścianę budynku i dokonywał rewizji, stał on z boku nago, rzeczy jego zostały dokładnie zlustrowane – odebrane zostały wszystkie twarde i ostre przedmioty, po dokonaniu wszystkich czynności – kazano ubrać się. Po ubraniu został odprowadzony w inne miejsce pod kordon bojców. Cała kompania bojców po przeprowadzeniu rewizji u jednego, podchodziła po następnego aż do ostatniego delikwenta.

O godzinie 13<sup>15</sup> wyprowadzono nas na ten sam szlak, który przed rokiem szliśmy, a teraz wracaliśmy na stację Babinowo. O godzinie 19<sup>00</sup> byliśmy na miejscu. Stał już pociąg, a w nim 60 tonowe wagony. Jeszcze przeliczono wszystkich, a natychmiast przystąpiono do załadunku „żywego towaru”, po wypełnieniu, drzwi zamykano na grube śruby. I tak wagon po wagonie do ostatniego „wojennopленного”. Dnia 6 czerwca 1941 roku o północy wyładowano wszystkich i odprowadzono do łagru dla „zakluczonych” na dalekiej północy w Murmańsku.

W łagrze, obok portu trzymano nas przez 5 dni w bardzo ciężkich warunkach, raz tylko otrzymaliśmy lichego posiłek (suchy prowiant – ryba i suchary). Dla 3 tysięcy ludzi nie było miejsca zakwaterowania, część musiała przebywać pod gołym niebem. Natomiast ci umieszczeni pod dachem, też mieli duże utrapienie,

szczury biegały po ich ciałach , jak pod autostradzie, a pluskwy i pchły niesamowicie dokuczały. Między nimi ja też byłem i to wszystko znosiłem. Czwartego dnia pobytu otrzymaliśmy ubrania watawe, obuwie oraz długie buszłaki (palta) również watawe. Dnia 11 czerwca wyprowadzono wszystkich do oddalonej o 12 km doliny w górach zwanej „dolina śmierci”. Tam żadnych kwater dla nas nie było, natomiast było już złożonego sporo materiału drzewnego, właśnie tym materiałem budowaliśmy dla siebie szałas. W tym czasie przyprowadzono do „doliny śmierci” drugą grupę Polaków z Pawliszczew-Boru. 21 czerwca wieczorem całość odprowadzono do portu w Murmańsku. Ta noc była tam bardzo zimna, staliśmy do rana przy burcie statku – 9-tysięcznika – węglarce o nazwie „Klara Zetkin”. Rano 22 czerwca ładowano nas na ten statek i o godzinie 14<sup>00</sup> statek ruszył. Później dowiedzieliśmy się od marynarzy, że wybuchła wojna pomiędzy Germanią i Sojuzem Sowieckim.

Ta wiadomość ogarnęła nas wszystkich nieopisaną radością. Trwały dyskusje z tym związane, na różne tematy, światli ludzie – naukowcy, których wśród nas ich nie brakowało twierdzili, że państwo, które prowadzi wojnę nie będzie mogło nas w takich warunkach trzymać i torturować, dla takich jak my Polacy, będziemy w myśl prawa międzynarodowego oddani państwu neutralnemu.

Ciągle po prawej stronie „Klary” mieliśmy daleki, ale widoczny ośnieżony ląd – był to Półwysep Kolski, od którego wiał silny i mroźny wiatr. Początkowo szybkość statku wynosiła 20 węzłów na godzinę, w dalszej drodze szybkość ta zupełnie zmalą – wielkie kry lodowe ograniczały szybkie posuwanie się statku, kilkakrotnie zatrzymywał się przed wielkimi bryłami gór lodowych. Liczono się z tym, że gdyby

statek posuwał się z dużą szybkością mógłby uderzyć w krę i być uszkodzony – przedziurawiony. Statek ten nie był od lat konserwowany, jego wnętrze i ściany były pokryte grubą rdzą. Na jego pokładzie znajdowało się 6 tysięcy głodnych jeńców polskich, wydychających parę, która osiadała na tej zardzewiałej i w postaci wody kroplami spadała na nasze odzienie i zostawiała brunatne plamy, których w ogóle nie dało się wywabić.

Płynęliśmy tak przez 2 doby w czasie, których nie otrzymaliśmy żadnego posiłku. Po dopłynięciu do celu, morze na którym płynęliśmy nazywało się Barentsa, w pierwszej kolejności wyładowano żywność na barki i przewieziono ją na ląd, natomiast nas dopiero po 5-ciu dniach. Na krótko przed wyładowanie nas otrzymaliśmy 1 słoik (waga 50 dkg) grochówki konserwowej w stanie bardzo zimnym, jeden słoik na dwóch. W czasie przewożenia nas na ląd barkami fale morskie rzucały nami jak piłeczkami, doznaliśmy „morskiej choroby” i zjedzona przez nas grochówka została wymiotowana do morza w hołdzie Neptunowi. Po wyprowadzeniu nas z wody schodami (jak bądź skleconymi) w ilości około 150 stopni, stanęliśmy, a raczej padliśmy z wyczerpania i głodu na lądzie, który był porośnięty skarłowaciałą brzozą. Noce polarne były tu jasne jak w dzień.

Dnia 30 czerwca przystąpiono do organizowania grup, NKWD miało już gotowe wykazy imienne. Najpierw został odczytany wykaz ludzi przeznaczonych do budowy nowego lotniska, była to grupa najsilniejsza, została ona podzielona na dwie zmiany. Robota była oddalona od miejsca wypoczynku o jedną godzinę drogi. Pierwsza zmiana (między innymi to ja), objął nas zwierzchnik sowiecki i kordon



straży, zabraliśmy ze sobą narzędzia, jak: łopaty, kilofy, młoty i drągi stalowe – potrzebne do wykonywania ciężkiej pracy. Jeszcze przed wymarszem do pracy otrzymaliśmy czarny chleb w nierównych kawałkach, często bardzo pognieciony oraz na dwóch ludzi po jednym słoiku grochówki. Na miejscu pracy poinstruowano nas jak to będzie robione. Wyglądało to tak: pokazali granice – od tego i do tego miejsca należy kopać, zdjąć darninę i wynieść ją na odległość 2 km. Wyrównanie powierzchni tzn. wystające głazy kamienne zrąbywać do poziomu i układać w metry sześciennie. Praca była normowana, np. zdarcie darniny wynosiło na jednego robotnika 72 m. kwadratowe z odniesieniem na miejsce. Tej normy największych siłach i dobrze odkarmiony człowiek nie wykonałby za wszelką cenę. Po 12-stu godzinach pracy zmieniała nas druga zmiana. Naszą pracę zmierzył, zapisywał i odbierał normowczyk. Tak było każdego dnia po zakończeniu pracy. Po odbiorze pracy odprowadzano nas na miejsce spoczynku pod „gołym niebem”.

Przygotowywaliśmy sobie jednorazowy posiłek dzienny, na jedno wiadro wody gotowanej dodawaliśmy jeden słoik grochówki, była to porcja na dziesięciu ludzi. O tej porze zimno było tam niesamowicie, otrzymane w Murmańsku watówki nie dawały nam należytego ciepła, musieliśmy chcąc nie chcąc – trochę pracować, by nie narazić się na przeziębienie – zdrowie to najważniejsza dla nas była rzecz. Zmuszeni byliśmy rozpalać ogniska i ogrzewać się, lecz nie zawsze nam się to udawało – podszedł bojec i nogami nam je stratował.

Półwysep Kolia, jego powierzchnia równa była naszemu krajowi, pokryta jest głazami kamiennymi porośniętymi mchem i brzozą karłowatą, grubość tej darniny dochodzi do 0,5 m. Mieszkańcy

tego zakątka to Lapończycy, rzadko tam spotykani, trudnią się łowieniem ryb a ich pokarm to mięso z reniferów. Zwierzęta te służą im jako siła pociągowa. W czasie naszego pobytu częste były przeloty samolotów z czarnymi krzyżami, a na ich widok padała komenda „padnij”.

Sowieci mieli dobre wyliczenia matematyczne i w porę usunęli nas z Pawliszczew-Bor, bo gdyby tak o jeden miesiąc sprawa wywózki była spóźniona, dostalibyśmy się w ręce Niemców. W korespondencjach listowych od rodzin zamieszkałych w pobliżu granicy Ribentrop-Mołotow, okupowanych przez Niemców w lutym 1941, donoszono niektórym kolegom „Choć do żniw jeszcze daleko, a już widać na naszych polach mnóstwo gryzoni, myszy a nawet szczury niszczą uprawy, mamy obawę, że zbiory będą słabe...”

Niemcy rozpoczęli atak silną ofensywą na ZSRR w dniu 22 czerwca 1941 roku, pokonywali oni dziennie bardzo duże odległości, trzeciego lub czwartego dnia ofensywy zajmowali puste Pawliszczew-Bor. Nas w tym dniu ładowano na statek w Murmańsku z przeznaczeniem do budowy lotniska na dalekiej polarnej północy.

I tak dzień po dniu chodziliśmy i wracaliśmy do pracy i z pracy – trochę tylko spaliśmy. Nasz wolny czas przeznaczony był na długie przemarsze tam i z powrotem, chodziliśmy coraz to wolniej, nogi już nie chciały nas nosić – odmawiały posłuszeństwa.

Inna grupa polskich robotników, znacznie mniejsza od naszej wykorzystywana była do budowy drogi, na razie dla zaprzęgów konnych od miejsca przystani barek, bo nazwa „port” to za duże słowo. Przystań, bo cumowały tylko barki o ładowności 500 ludzi na stojąco – jeden przy drugim. Duże statki kotwiczyły na morzu daleko od lądu,

towar ze statków przeładowywano do barek, ze względu na płytką wodę przy brzegu. Droga była budowana do lotniska na lewo od strony rzeki Panoj. Trzecia grupa to ludzie pracujący na przystani. Czwarta, to tragarze użyci do przenoszenia na swych barakach przeważnie żywności a przede wszystkim chleba, był on pieczony daleko za rzeką przez tamtejszych mieszkańców – Lapończyków. Mostu na tej rzece nie było, lecz tylko prymitywna kładka, która co pewien czas, gdy był przyptyw morza była zalewana wodą i nie nadawała się do przejścia, aż dopiero kiedy był odpływ.

Na czele tych wydzielonych grup roboczych: w pracy, transporcie i gdziekolwiek się one znajdowały stał oddział NKWD, od pierwszych chwil objęcia nas po aneksji Litwy w Wiłkowyszkach, aż do dnia dzisiejszego tj. 12 lipca 1941 roku. Kto wie jak długo będzie trwała męczarnia ludzi, tego nikt wówczas nie umiał określić, przecież my z nimi wojny nie prowadziliśmy, tym samym nie byliśmy ich niewolnikami – za co oni nas tak męczą, chyba tylko dlatego, że jesteśmy Polakami – odzywały się takie i podobne głosy.

Każdego dnia podczas pracy na polu obserwowaliśmy widoczne na morzu kołyszące się zakotwiczone statki, ten widok wprowadzał nas wszystkich w niepokój – jedni twierdzili, że Niemcy, gdy się o tym dowiedzą co się tu robi, mogą psuć naszą robotę, to następny nasz etap może być „Nowa Ziemia”. Inni odmienną przedstawiali sytuację, a mianowicie to, co już było prorokowane w dzień wojny Germania – ZSRR, tzn. oddani zostaniemy państwu neutralnemu. Stojące puste statki na wodzie, czekają na decyzję władz odgórnych. To chyba było mądrzejsze!

Wiedzieliśmy, że był to 12 dzień naszej pracy na tym kontynencie, lecz wcale nie orientowaliśmy się co to za dzień – jak się nazywa, czy to w ogóle jest dzień czy noc. O tej właśnie porze zauważyliśmy zbliżającego się człowieka na koniu, gdy podjechał bliżej nas zaczął głośno mówić w języku rosyjskim:

- Rebiata, zdajcie instrumenty, bolsze zdieś rabotać nie budiecie, pajdiocie wsie w baniu!

Oddaleni od nas koledzy, tego zarządzenia nie słyszeli, ale w mig zostali przez nas o tym powiadomieni i poinformowani. Człowiek na koniu, miał twarz podobną do mongolskiej, był bez siodła, zamiast uzdy i wodzy skórzanych, koń na łbie swoim posiadał sznurki z pakuł, jeździec miał cywilną czapkę, był w rubaszce przepasany wąskim skórzanym paskiem, na lewej piersi miał dużą, czerwoną gwiazdę, buty zwykłe garbowane – bez ostróg.

Tego dnia czy nocy, dzisiaj tego nie pamiętam, wartownicy odprowadzili nas w rejon przystani, nikt z nikim w drodze nie rozmawiał – byliśmy zmęczeni i obojętni na wszystko. Po kilku godzinach snu przygotowywali nas do następnego załadunku na statek „Uzbekistan”.

Do statku dowożono nas tymi samymi barkami, którymi nas wyładowywano na brzeg po 500 ludzi na jedną barkę. Po załadowaniu statek ruszył. Nie wiedzieliśmy, gdzie będą nas kierować. Jedni wracali do wczorajszej informacji – „wsie do bani”, po polsku znaczy: „pójdziecie wszyscy do łaźni”. To może do łaźni nas wieźli – ale gdzie tam – twierdzili inni. To nie nasza rzecz, gdzie nas wiozą, dobrze, że wiozą, może na lepsze – byle tylko jeść dali to już dobrze! – toczyły się dyskusje.

W dniu 18 lipca 1941 r. „Uzbekistan” dobił do portu Archangielsk nad Morzem Białym. Wyładowano nas do obok znajdującego się bardzo małego obozu, znajdowały się w nim cztery nie duże baraki, miejsc było najwyżej dla 250 ludzi, reszta przebywała na zewnątrz barków. Czas przetrzymywania nas już dochodził do 4-ch godzin – wiedzieliśmy, że jedzenia ani „dudu”. Podnieśliśmy bunt: krzyki, wyzwiska, każdy na swój sposób i język, rozpoczęliśmy głośno śpiewać – „marsz, marsz polonia, marsz dzielny narodzie...” Posterunki na wieżyczkach wartowniczych bacznie obserwowały to zjawisko, wewnątrz obozu nie było widać żadnej czerwonej czapki – władzy NKWD. Coraz więcej paliło się ognisk, do palenia brano wszystko co dało się palić. Służyły one nam do ogrzania się, gdyż zimno bardzo nam dokuczało. Z wieżyczek padły pierwsze strzały ostrzegawcze. Na to zamieszanie zjawiono się kilku politruków – łagodząc „naszych” do zaprzestania demonstracji. Nasi nieco się uspokoili, pod warunkiem, że dostaną jedzenie! Po upływie 2-ch godzin otrzymaliśmy bardzo smaczną i dobrze przyprawioną grochówkę, której w tym kraju jeszcze nie jedliśmy. Starsi, którzy znali Rosję przed rewolucją, opowiadali nam, że ludzi rosyjscy, to bardzo dobry naród, przede wszystkim gościnni. Ludzie to może tak, ale ustrój bolszewicki jest dla Polaków ciemną. My młodzi już ich dobrze poznaliśmy.

21 lipca 1941 roku załadowano nas teraz do transportu kolejowego. Sztab i ochrona jak zwykle – miała wygodniejsze wagony, na ognie wahała, z których dochodził do „naszych” zapach pieczeni mięsnych i przypraw. Nas zaopatrywali – w trakcie jazdy w rybę i suchary, czasami tylko wiadro wody na sto ludzi. Wagony ich

połączone były z parowozem maszynisty kablem telefonicznym. Jazda odbyła się jak poprzednio: Babinowo-Murmańsk.

Po 4-ch dniach i nocach w dniu 25 lipca pociąg zatrzymał się na stacji kolejowej Wiaźniki, w rejonie Gorki. Kazali wysiadać – ustawili nas dziesiątkami i parokrotnie przeliczali. Gdy padła komenda „marsz!” kilku zostało leżąc na ziemi – byli bardzo słabi, żeby móc dalej iść. Twarze wszystkich były blade i wychudzone. Od czasu Pawliszczew-Bor nie myci, nie goleni, byliśmy bardzo brudni. Ubrania nasze, mundury, czapki z „Września” były bardzo zbryzgane rdzą z podróży „Klarą Zetkin”, spodnie na kolanach świeciły gołym ciałem. Była już od 33 dni wojna, prowadzono nas przez miasto, tamtejsza ludność pilnie nam się przyglądała, nie wiedzieliśmy za kogo oni nas mają. Tym razem prowadzono nas drogami przez różne osiedla i lasy, długość drogi wynosiła około 60 km. Prowadzenie takiej masy ludzi było dokumentem dla własnej ludności, sukcesem ich armii na froncie zdobycia jeńców.

Po dwóch dniach marszu tj. 27 lipca doprowadzono nas do wielkiego obozu znajdującego się w lasach koło Iwanowa i Tuły. Obóz jak zwykle opasany był kolczastym drutem. Kuchnia oddzielona była od obozu również drutem. Obóz ten było już kilkuset ludzi – Polaków przybyłych z dalekiej północy z rejonu Uchty i Pieczory, byli wszyscy opuchnięci, zaawansowanym szkorbutem – fizycznie wyczerpani. W pobliżu kuchni znajdowały się duże drewniane pojemniki napełnione wodą przegotowaną, do tych zbiorników wrzucane było igliwie sosny, tym odwarem leczono chorych na szkorbut. W tej grupie spotkałem dwóch moich kolegów z czasów służby czynnej: Czesława Kaczorowskiego i Stefana Rutkowskiego, witając się mieliśmy łzy

w oczach, ponieważ przeżyliśmy tą katorgę. W tym obozie przebywaliśmy niedługo.

Ciągle jeszcze byliśmy głodni (każdy myślał, kiedy wreszcie naje się do syta) mimo otrzymywanego dziennie trzykrotnego posiłku, była to zupa z otrąb gotowana zupełnie jałowa. Odbiór jej następował z kuchni do beczek po dziekiu i innych smarach, przewożono wozem bez zaprzęgu konnego. Wóz z „jadłem” każdorazowo ciągniony był przez kilkanaścioro młodych ludzi do wewnątrz obozu, gdzie go rozdzielano po jednej menażce dla każdego. Do kuchni „wojenno-plennym” wstęp był surowo wzbroniony, dostępu do kuchni strzegli bojcy ze szpikulcami.

Zauważono, przeważnie z grup z nad Pieczory, ludzi chorych, zupełnie wyczerpanych przebywających pod opieką lekarzy w tak zwanych balnicach, złożonych dodatkową chorobą – krwawą biegunką. Kilku z nich już martwych wywieziono na zewnątrz obozu.

Od dnia 13 sierpnia w obozie zaczęły krążyć pogłoski jakoby w ZSRR będzie utworzona Armia Polska. Od tego czasu dla nas polepszyły się warunki bytowe – mijała głódówka. 15 sierpnia wewnątrz obozu została odprawiona pierwsza śpiewana na terenie ZSRR uroczysta modlitwa. 26 sierpnia przybyły do obozu Komisje Wojskowe – Radziecka i Polska reprezentowane przez Nikodem Sulika, ze strony Radzieckiej kilku generałów. Odczytany nam został Układ Polsko-Radziecki zawarty dnia 30 lipca 1941 r. podpisany ze strony polskiej przez gen. Władysława Sikorskiego, a ze strony radzieckiej przez ministra Majskiego. Przeczytano także nam Wojskową Umowę Polsko-Radziecką zawartą w dniu 14 sierpnia 1941 r. Armia Polska w ZSRR podlegała Rządowi Polskiemu w Londynie. ZSRR zobowiązał

się udostępnić polskiemu aparatowi rekrutującemu obozy jenieckie oraz umożliwić wszystkim „byłym” obywatelom Polskim zaciąg do polskiego wojska.

Na zakończenie tego spotkania Komisja Radziecka zwróciła się do wszystkich zgromadzonych po rosyjsku:

- Kto z Was jest oficerem niech wystąpi - na krótko powstało jakieś wahanie, obawy ze strony „naszych”.

Komisja jeszcze raz powtórzyła:

- Prosimy o wystąpienie, żadna krzywda nikomu nie będzie się działa.

Dopiero na podkreślenie wyraźne tego zdania, wystąpiło kilku znajomych, którzy przebyli katorgę razem z nami od pierwszych chwil wywózki z Paliszczew-Bor. Jeden z nieznajomych okazał się być podpułkownikiem, nazwiska jego nie pamiętam. Od 17 września 1939 r. przebywał nad Pieczorą i wykorzystywany był do ciężkich robót. Gdy powstały nowe formacje został dowódcą 4 pal-u. Ci ujawnieni oficerowie w większości pochodzili z terenów okupowanych przez Niemców. Zaś Polacy przebywający w obozach ZSRR a pochodzący z dawnych terenów Polski okupowanych przez ZSRR nie mogli w żaden sposób ukryć się, ponieważ dokładny wywiad w tych sprawach prowadziły obozowe Komendy NKWD z komendami wszystkich rejonów.

W tym dniu tj. 26 sierpnia 1941 r. zdjęto wszystkie posterunki wartownicze, również znikła nam z oczu władza NKWD. Następnego dnia wypłacono każdemu zapomogę w wysokości 500 rubli. Bramy zostały otwarte. Mieszkańcy pobliskich miejscowości przyprowadzili swe żywe zwierzęta na sprzedaż - jak była duża sztuka kupowało ją



kilka osób – kupowali, bili, gotowali rosół i jedli upragnione mięso, nikt sobie nie żałował. Cały obóz wyglądał jak w dzień zaduszny na katolickich cmentarzach w Polsce – od palących ognisk, na których gotowano zakupione mięso. Ja z kolegą poszliśmy dalej kilka kilometrów do futuru (kołchozu), gdzie kupiliśmy do spółki za 100 rubli owcę-skopa, na miejscu opraciliśmy, ugotowaliśmy całą sztukę i na równo podzieliliśmy, a przedtem popiliśmy rosolu i tak do syta pożywiliśmy się. Gospodyni, Rosjanka patrząc na naszą robotę i apetyty, tylko się uśmiechała. Ona nie знаła naszego języka, a my jej. Wróciwszy się do „koszar” podzieliłem się przyniesioną żywnością z moim kolegą Polikarpem Berkowskim. Nie umiem opisać jego radości i serdecznym podziękowań.

W dniu 3 września wyjechaliśmy (w pierwszej grupie) wąskotorową koleją, na gołych platformach. Po pewnym czasie jazdy przesiedliśmy się na statek rzeczny „Monrp Pobiespier”, ze statku rzecznego w dniu 6 września przesiedliśmy się do otwartych wagonów na stacji kolejowej „Wiazniki”. Po trzech dniach jazdy – jak kiedyś w wojsku Polskim – dojechaliśmy do stacji o nazwie „TATISZCZEWO”. Wsiedliśmy 9 września, ktoś powiedział:

– To tu!

Ruszyliśmy teraz pieszo – całą długą kolumną, bez żadnych komend i rozkazów, ponieważ nie byliśmy jeszcze wojskiem; byliśmy w cywilnych ubraniach i watówkach oraz w polskich mundurach, lecz bardzo zniszczonych i zbrzydzanych rdzą. Od stacji nie było więcej niż 2 kilometry. Z dala już było widać długi, zalesiony pas terenu. To właśnie nasze miejsce postoju. Obozowisko to znajdowało się na wielkim poligonie. Przeznaczone było wyłącznie w porze letniej dla

wojska. Długość tego parku wynosiła do 2-ch kilometrów, a szerokość do 200 m. Na zapleczu były szopy, w których mieściły się kuchnie, umywalnie, stajnie i magazyny. Gdy weszliśmy na ten teren, zauważyliśmy tylko gołe gniazda bez namiotów. Każde gniazdo na jego narożniku było otoczone czterema drzewami – jesionami dla zaciemnienia od słońca. W lecie, w czasie spokoju mogło tam być bardzo ładnie i przyjemnie. Również z naszym nadejściem przywożono namioty. Dobieraliśmy się po 10-ciu i stawialiśmy sobie „domki” i czekając na jakiś posiłek i ciągle myśleliśmy o kraju co się tam teraz dzieje. 10 września odbyła się rejestracja wszystkich przybyłych osób pod względem przydatności wojskowej. Dwa dni później ogłoszono wszystkim nazwiska, kto do jakiej formacji jest przydzielony, ustalono już dowódców, od dywizji do kompanii włącznie. Wyznaczono również teren zakwaterowania poszczególnych oddziałów. 14 września odprawiona została przez przydzielonego kapelana W. P. uroczysta msza święta, przybyło na nią dużo tamtejszych Rosjan, prosząc kapelana by zechciał dokonać ceremonii chrztu ich rodzin. Chrzest został udzielony.

Dnia 15 września 1941 r. w m. Tatiszczewo na terenie ZSRR utworzona została 5 Dywizja Piechoty, jej dowódcą został generał brygady Mieczysław Boruta-Spiechowicz. W skład tej dywizji weszły:

- 5 Pułk Artylerii Lekkiej,
- 13 Pułk Piechoty,
- 14 Pułk Piechoty,
- 15 Pułk Piechoty – dowódca ppłk Roman Szymański,
- 2 Batalion – dowódca mjr Sierosławski,

- 5 Kompania – dowódca por. Mirosław Świeściak,
- Dowódcy plutonów – podporucznicy – Gieczewski, Stręk i Waśniewski.

Mnie przydzielono do 15 Pułku Piechoty, 5 kompanii, gdzie pełniłem funkcję dowódcy drużyny, byłem w stopniu kaprała.

Dnia 16 września 1941 roku odczytano pierwszy rozkaz 15 pułku piechoty.

Dowództwo 6 Dywizji Piechoty wraz z jej pułkiem piechoty 16-tym, 17-tym oraz z 6 pułkiem artylerii lekkiej zorganizowało się w m. Tockoje. Natomiast dowództwo Armii Polskiej w ZSRR stacjonowało w Buzłuku k/Kujbyszewa.

## **Etap V. Ponownie w Armii Polskiej**

W dniu 21 września 1941 roku otrzymaliśmy broń. Przynosiliśmy ją na własnych plecach ze stacji kolejowej, wozy taborowe i działa przyprowadziliśmy również – pchając je własnymi siłami. Od tego dnia rozpoczęły się normalne zajęcia (ćwiczenia) na pobliskim placu ćwiczeń, według ułożonego programu. Dużo ludzi było zwolnionych z zajęć, z powodu słabej kondycji, wyczerpania oraz ci, którzy nie posiadali obuwia i chodzili boso. Na odzież angielską czekaliśmy wszyscy. Kilka dni po naszym przyjeździe, zgłaszały się do naszego „garnizonu” różne grupy – małe i duże, byli to ludzie ze wschodnich terenów Polski wywiezieni w „głęb” zimą 1939/40 przez oddziały NKWD. Byli oni nosicielami różnych chorób, byli wyczerpani głodem i chłodem. Po 20-tym września ustał wszelki napływ nowych ludzi do naszego wojska.

Któregoś września wizytował nasze oddziały w Tatiszczewie dowódca Armii Polskiej w ZSRR gen. Władysław Anders wraz ze swym szefem sztabu płk Zygmuntem Szyszko-Boguszem. Staliśmy (ci co mieli buty) w bardzo długim dwuszeregu, na czele stał d-ca 5 dywizji gen. Boruta-Spiechowicz, zdał raport z obecnego stanu naszej dywizji gen. Władysławowi Anderowi. Gen. Anders powitał nas słowami:

– Czołem żołnierze!

Następnie podszedł blisko do stojących i zwartych szeregów, szedł o lasce bardzo wolnym krokiem patrząc każdemu prosto w oczy. Po zakończeniu przeglądu powiedział żołnierzom tak:

– Zebraliśmy się tu, ale nie wszyscy, brakuje nam jeszcze bardzo dużo ludzi, głównie oficerów, będziemy czynić wszelkie

starania, by ich stamtąd wydostać” (*Wyjaśnienie w „Etap VI. Niezupełnie wyjaśniona sprawa”, str. 49*).

Gen. Wł. Anders pocieszył nas również o otrzymaniu nowej angielskiej odzieży, nim to otrzymamy upłynie jeszcze trochę czasu, ponieważ to zaopatrzenie płynie bardzo długą, okrężną drogą – wodami północnymi.

Generał Władysław Anders został aresztowany przez żołnierzy Armii Czerwonej i osadzony w więzieniu na Burtykach w Moskwie.

Coraz chłodniej się robiło. A my w namiotach! 15 października temperatura spadła do minus 20 stopni C. Na zmianę innego, lepszego miejsca postoju nie było widoków. Wydano zarządzenie, aby wkopywać się w głąb ziemi. Namioty zostały zdjęte. Każda drużyna kopała swoją dziurę. Cała dywizja broniła się przed mrozem. Na pokrycie jednej ziemianki, potrzeba był około 40 m<sup>2</sup> drągownicy dębowej. Chodziliśmy 5 kilometrów w jedną stronę do lasu Idołga, rąbaliśmy dęby i przynosiliśmy na strop naszego „mieszkania”. Gdy było już dosyć, zasypywaliśmy ziemią wydobytą z tego gniazda na grubość jednego metra. Kto się postarał gdziekolwiek o materiał lub gotowe drzwi, to je miał, a kto nie, to tę czynność spełniała płachta namiotowa. Piecyki też były robione w gospodarczy sposób, kto zdobył blachę to już było dobrze, podmurówka na 3 cegły gliną i w ten sposób powstał piec, komin był też tak samo z kawałka blachy. Drzewo na opał nosiliśmy codziennie z lasu Idołga, tak długo póki droga była do przebycia, gdy spadły duże śniegi, zaniechaliśmy – było za ciężko. Rąbaliśmy nasze jesiony, które znajdowały się w naszym miejscu zakwaterowania, trwało to aż do lutego 1942 roku, kiedy nie zostało tam już ani jedno drzewo.

Wojsko takie, jak nasze było do luzu, kilka wozów i to wszystko w całej naszej dywizji, z końmi tak samo było, ledwo 20 na 10 wozów i to był nasz tabor.

Do kogo więc należała budowa ziemianek a szczególnie dowóz materiału budowlanego i zaopatrzenie w piecyki i opał. Moim zdaniem do właściciela gruntu w tym przypadku to rząd ZSRR winien oddać kwatery zdadne do bytowania ludzi. Dziwię się teraz dlaczego nasze dowództwo nie domagało się tego – tym samym gnębiło swoich żołnierzy.

W pogodny i słoneczny dzień październikowy, ale nie bardzo mroźny, nasza kompania znajdowała się na placu ćwiczeń o jakieś 4 km od naszych ziemianek, zmieniając miejsca w czasie marszu głośno śpiewała piosenkę – „wyganiała Kasia wołki...” i nie było w tym nic dziwnego.

Z daleka widać było sylwetkę człowieka na koniu – jechał stępą, gdy znalazł się koło nas, zauważył to jeden z naszych podoficerów i krzyknął:

- Dowódca dywizji.

Porucznik Mirosław Świeściak – d-ca naszej kompanii był tym faktem bardzo zdenerwowany. Zatrzymał kompanię, zfrontował w kierunku zbliżającego się dowódcy, wyrównał i podał komendę:

- Bacność, na prawo patrz!

Sam wykonał w tył zwrot, zsalutował i zameldował siebie, stan faktyczny i stan obecnych na ćwiczeniach. Generał przywitał nas:

- Czołem żołnierze! - a naszemu dowódcy polecił:
- Dać spocząć.

Zwracając się do nas, powiedział:

- Ściągnął mnie tu do was wasz śpiew, śpiewacie pięknie, a kto pięknie śpiewa będzie także dobrze walczył. Ale to nie wszystko. Chcę wam powiedzieć więcej. Otóż przed paroma godzinami otrzymałem awizo z dowództwa Armii, że mam przyjąć paręset osób do mojej dywizji na dożywianie, nie wiem jak to zrobić, nie mam dla nich pomieszczeń, nie mam koni i paszy dla nich – pytam się was, co robić?

Odpowiedzieliśmy jednogłośnie:

- Przyjąć!
- Tak jest – odpowiedział generał – jestem też tego zdania.

Dodał jeszcze:

- Nasze racje żywnościowe są daleko od zadowalających, będziemy musieli je jeszcze uszczuplić. Musimy ratować naszych biednych i głodnych rodaków.

Tak to z nami rozmawiał dowódca naszej 5 dywizji piechoty generał Mieczysław Boruta-Siechowicz.

Były różne przewidywania, jedni sadzili, że otrzymamy kwatery gdzieś w jakimś mieście, że będą murowane, gdyż teraz wszyscy żołnierze radzieccy są na froncie, więc koszary mają wolne, takie i podobne toczyły się dyskusje w drodze do nowego polskiego wojska.

Gdy przybyliśmy na miejsce nikt by w to nie uwierzył, że tam przetrzymaliśmy zimę 1941/42. Były tu bardzo ciężkie i trudne warunki bytowania: wyżywienie z kotła – zupa, wodnista z przetworów zbożowych - chleb, jak glina zupełnie czarny, wydawany był każdego

dnia bardzo późno wieczorem, był przeznaczony na dzień następny. Bardzo często na jego odbiór czekaliśmy nie raz do północy, bo przeważnie o tej porze nasi wracali z zaopatrzeniem. Na cały stan ziemianki wydawano do koca, pokruszony, pognieciony i każdorazowo zmarznięty na kość. Ten boski dar natychmiast został rozważony na naszej wadze, wadze szalkowej sporządzonej ze sklejek. Każdy żołnierz nosił ją w swoim plecaku. Rozważaniem chleba zajmowało się 2-ch ludzi, reszta pilnie obserwowała jego podział, aby nie było nadużyć. Gdy porcja posiadała więcej skórki – uważano ją za porcję bardziej odżywczą. Aby była sprawiedliwiej ona rozdzielona, robiliśmy to w ten sposób, że jednemu z nas zawiązywało się oczy i pytano go – komu ją dać? On każdorazowo wymieniał po imieniu, któregoś z nas i on trafiała pod właściwy adres i to było sprawiedliwe. Natychmiast była zjadana, nawet wtedy gdy była zmarznięta.

Ciepłej wody nie mieliśmy, to też bielizny nikt nie prał. Odwyszawialni żaden z nas nie widział, aby była w obozie, więc wszyscy jak jeden mąż byliśmy zawszawieni. Ludzie zaczęli chorować na różne choroby, najgroźniejsza z nich to był tyfus plamisty, dużo ludzi umierało – oto obraz naszych warunków w jakich musieliśmy przebywać.

Nasi chłopcy daleko wychodzili poza obręb naszego zakwaterowania w celu zdobycia choć trochę ziemniaków. Były tam bardzo duże pola sowchozowe skute lodem, na których było jeszcze dużo ziemniaków. Z trudem były wykopywane, ale jakoś udawało się im je wykopać i przynosili całe plecaki do obozu, gdzie były obierane, starte na masę, dodawano soli, kładziono na gorącą blachę i były



gotowe bliny i wszyscy rozkoszowali się ich jedzeniem. I tak było dzień po dniu.

W ziemiance – kancelarii, gdzie było nas pięciu podwładnych szefa kompanii sierżanta St. Zygmunta, otóż nasz szef zaproponował nam, że jest możliwość otrzymania przepustki do Saratowa w celu dokonania zakupów.

- W takim dużym mieście powinno się tam coś więcej dostać niż u nas – powiedział szef – kto z was by zechciał jechać, bardzo proszę, wypiszę przepustkę na jutro.

Spośród nas 5-ciu, 3-ch poprosiło o zwolnienie, otrzymaliśmy takowe. Następnego dnia byliśmy już w Saratowie. Na dworcu kolejowym pełno pasażerów – ludzi ewakuacyjnych, palca tam już by nie włożył, strasznie duszno, ogrzać się nie ma jak. Bufety puste. Poszliśmy do miasta, ruch niesamowity, ludność szuka jedzenia. Długie, bardzo długie kolejki przed sklepami z żywnością. Ludność tamtejsza bardzo uprzejma informowała nas, byśmy jako wojenni weszli w kolejkę co piąty. Czekaliśmy do rana, zostaliśmy obsłużeni, ja kupiłem chałkę pszennego chleba i nic więcej, w drodze powrotnej do „domu” zjadłem ją jak pies muchę. Po powrocie do kompanii zdaliśmy szefowi sprawozdanie o przebiegu zakupów. Od tego czasu p. Zygmunt stał się dla nas w służbie bardziej wymagający. Byliśmy w Saratowie nad Wołgą w dniu 28/29 października 1941 roku.

Zbliżała się zapowiadana wizyta Naczelnego Wodza z Londynu w naszym wojsku. Nasz d-ca dywizji życzył sobie, aby do przeglądu stanęło jak najwięcej ludzi, oczywiście zdolnych do działania, jak i umundurowanych. Na zbiórkach w kompaniach zwracano uwagę właśnie na umundurowanie, obuwie i dobrą kondycję fizyczną. Gdy

ktoś z żołnierzy nie odpowiadał tym warunkom – został odsunięty. Z całego batalionu wybrano zaledwie jedną kompanię, zaś z całego pułku trzy kompanie. Podobnie było w pozostałych pułkach naszej dywizji. Cały tydzień wkuwaliśmy musztrę. Władanie bronią było podstawowym akcentem, formowanie dwuszeregu i przejście w czwórki musiały być wykonane jak jeden stuk. Najbardziej od nas był wymagany marsz defiladowy – równy krok, zwracano dużą uwagę na krycie i równanie. Szykowniejszych chłopaków stawiano do frontu. Wszyscy oficerowie żądali od nas, aby przegląd wojsk wypadł jak najlepiej.

Miejsce lądowania samolotu z Naczelnym Wodzem wybrano na równym terenie w pobliżu linii kolejowej Tatiszczewo-Saratow, 3 kilometry od naszego stanowiska obozowego. Wojsko do przeglądu w sile 3-ch batalionów stało w czworoboku. Na prawym skrzydle orkiestra pod batutą sierżanta Adama Dyląga. Pułk artylerii lekkiej w drugim rzucie. Przed frontem całości wojsk stał dowódca dywizji gen. Mieczysław Boruta-Siechowicz. Po drodze z Moskwy gen. Władysław Sikorski wizytował oddziały stacjonujące w Buzułuku. Na przylocie samolotu Naczelnego Wodza nasze oddziały czekały około 0,5 godz. Samoloty wylądowały – z angielskiego „Air Force” wysiadł pierwszy gen. Władysław Sikorski. Na głowie miał dużą czapkę kozuchową, był w wojskowym płaszczu angielskim, wraz z gen. Sikorskim przybyli przedstawiciele władz radzieckich, wśród nich było kilku generałów. Orkiestra odegrała marsza generalskiego. Po przywitaniu nas:

– Czołem żołnierze!

generał dokonał przeglądu naszych oddziałów, po dokonaniu przeglądu wygłosił krótkie przemówienie, w którym powiedział na temat

przygotowania naszych wojsk do walki z naszym wrogiem – Niemcami. Następnie gen. Sikorski udał się na miejsce naszych kwater (ziemianek), gdzie spotkał pozostałych naszych „mieszkańców”, którzy wyszli różnie ubranie, czasem boso, na zewnątrz, aby zobaczyć na własne oczy Naczelnego Wodza. Generał Sikorski bardzo interesował się wszystkim, dużo z każdym rozmawiał, a jego filmowcy robili bardzo dużo zdjęć w różnych sytuacjach.

Posypały się awanse na wyższe stopnie oficerskie oraz podchorążych na podporuczników. Była to pierwsza wizyta Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysława Sikorskiego na terenie ZSRR. Działo się to 14 grudnia 1941 roku.

10 grudnia 1941 roku wyjechał pluton naszego wojska do portu w Murmańsku po odbiór sort mundurowych przeznaczonych dla żołnierzy. Przesyłka nadeszła z Anglii. Nasi żołnierze wysłani tam, mieli za zadanie dopilnować wyładunku przesyłki ze statku i załadunku je do wagonów kolejowych i pełnić straż w drodze od wyjazdu z Murmańska aż do naszego miejsca zakwaterowania w Tatiszczewie. Na samą gwiazdkę 1941 roku otrzymaliśmy nowe, jakby z spod igły umundurowanie – od furazerki do obuwia i od przyborów do golenia aż do peleryny. Ilość otrzymanych przedmiotów wynosiła dla żołnierza powyżej 40 pozycji, np. 2 pary ciepłej bielizny, 2 pary letniej, 5 par wełnianych skarpet, 4 koce, 1 sweter, 1 płaszcz sukieny, 1 koszula Angola, buty gumowe, szal, nóż, widelec, łyżka, menażka, manierka, plecak, chlebak, porcja żelazna „R”, worek do rzeczy i wiele jeszcze innych przedmiotów. Prezentacja żołnierza w nowym ubraniu była bardzo wysoka. Stare nasze umundurowanie z Polskiego Września, musiało być pod karą zdane, jeśli inaczej, groził areszt i wysoka

grzywna. Wydawano je dla cywilnych rodzin polskich. Po pewnym czasie w nowych sortach znowu opanowały nas wszy, nie było warunków do tępienia.

Druga już gwiazdę spędziliśmy na obczyźnie, a pierwszą w naszym polskim wojsku. Otrzymaliśmy produktów żywnościowych za 20 rubli na każdego i tak: 200 g masła, 200 g sera, 150 g kiełbasy i 90 g wódki, plus porcja naszego chleba i zupy obiadowej „Krupnik”. Takie oto mieliśmy te pierwsze święta Bożego Narodzenia w wojsku polskim.

W pierwszych dniach lutego 1942 roku ładowaliśmy się do wagonów, różne to były wagony, trafiały się też „nasze” z września 1939 r., znaki PKP z orłem były zamalowane, w tych miejscach widniała „gwiazda z młotem i sierpem”. Były jeszcze czytelne znaki: długość ładunku, rozstęp osi, waga własna itd. Do tych właśnie wagonów wstawiano dwie podłogi (pokłady), na środku stał przymocowany do podłogi piecyk – nie zawsze było ciepło. W dniu załadunku i wyjazdu termometr wskazywał na stacji Tatiszczewo 43 stopnie C poniżej „0”. Na stacjach o dłuższym postoju zmuszeni byliśmy (szeregowi) do wychodzenia na gimnastykę, nie zważano ze strony oficerów na duży mróz (40 i więcej stopni) jedni przestali – to drudzy zaczęli nas gnębić i zaprawiać do wielkiego trudu.

Trasa wiodła przez most na Wołdze w Saratowie – Uralsk – Ileck – Aktjubińsk – Aralsk – Kazalińsk – Tarkistan – Taszkient – Ursatowsk do Dżałal-Abad. Trasa była trudna, a jednocześnie była do najdłuższa w moim życiu podróż, bo aż trzynaście dni i nocy bez przesiadek, wysiadki to były, jak już zaznaczyłem codziennie, gdy był postój na gimnastykę do rozruszania kości. Ta podróż zaczęła się na

stacji Tatiszczewo niedaleko Saratowa, a z kończyła się w Dżalal-Abad, miejscowości leżącej w dolinie Fergańskiej okolonej wysokimi śnieżnymi górami, których najwyższy szczyt do Tien-Szan, ciągle schowany w chmurach. Była to rzeczywiście wielka dolina, dawała ona największe zbiory bawełny w całej republice.

Jeszcze w Taszkencie na paręset kilometrów przed dojazdem do stacji wyładowniczej, kilku nas „odważnych śmiałków” zapragnęło opuścić transport kolejowy i udać się do miasta w celu sprawdzenia, czy rzeczywiście Taszkient ma takie wino o światowej sławie, jak to się przeczytało w ZSRR. Wojen-Kamat pełniący służbę na stacji kolejowej poinformował nas, że mamy tylko dwie godziny czasu na pójście do miasta, dużej nie wolno ryzykować. Najlepsze wino „Taszkientskoje” popijaliśmy z humorem, ale opóźnieni o pół godziny wróciliśmy na dworzec kolejowy, a naszego transport, niestety już nie było – uszedł w niewiadomy kierunku. Nikt nie umiał nam odpowiedzieć w jakim kierunku odjechał. Tej tajemniczej odpowiedzi udzielił nam tylko oficer Wojen-Kamat. Wsiedliśmy do osobowego pociągu i zaczęliśmy gonić nasz transport. Dojechaliśmy na miejsce – nasza „czwórka dezerterów”. Cała dywizja była już wyładowana i szykowała się do wymarszu, bardzo długiego wymarszu! Dowódca batalionu mjr Mrozek miał nas zapisanych w swoim służbowym notatniku.

Od marca do czerwca zmienialiśmy trzy razy nasze miejsca postoju. Zaraz na pierwszym postoju stanęliśmy całą naszą czwórką do raportu karnego, dowódca batalionu mjr Mrozek zastosował swój najwyższy, jak posiadał wymiar kary – każdy po 14 dni aresztu średniego. Na trzecim postoju w miejscowości Suzak odbyliśmy wyżej wymienią karę. Siedzieliśmy w namiocie przez cały czas zapiętym na

ostatni guzik. „Areszt” postawiony był w dolinie na łączce, okolony wysokimi drzewami. Profosem tego „więzienia” był sierżant Piłat z klucznikiem strzelcem Władysławem Piekło. Oni nas cały czas pilnowali. Każdego dnia odbywała się półgodzinna przechadzka na oczach „władzy”. Spacerów nikt z nas nie odbywał, od razu kładliśmy się na wilgotnej trawie i tak leżeliśmy przez cały czas półgodzinnej przechadzki, chodzić nie można było, bo był bardzo mocny upał, byliśmy bardzo wyczerpani od tego upału – prawie ogień palił naszą płachtę namiotu. Do jedzenia dostawaliśmy: chleb – zmniejszone porcje, a na obiad bardzo rzadkie zupy, bez wody. Pewnego czerwcowego dnia, w czasie naszego „wypoczynku” młoda dziewczyna Uzbeczka podała nam na drewnianym talerzyku do namiotu piękne soczyste truskawki. Baczne oko klucznika Wł. Piekło to wszystko zauważyło i wtedy klucznik szybko wkroczył do akcji, zaczął bić ją po głowie, po twarzy i jeszcze sięgnął czubkiem swego buta, a owoce, na które mieliśmy taką „ślinkę” rozrzucił po ziemi i potem je podeptał, a dziewczyna wróciła do glinianki z płaczem. Ból nasz po straconych truskawkach był wielki i tej młodej dziewczyny zapewne też.

Po dwuletnim czasie kiedy wróciliśmy do Europy została przeprowadzona wszystkich polskich jednostkach reorganizacja na model angielski i klucznik strzelec Władysław Piekło przydzielony został do mojego pododdziału – można by rzec pod moją rękę. Był chętnym do wszystkiego, zdyscyplinowanym żołnierzem. Bardzo lubił ze mną rozmawiać, był wykształconym leśnikiem. Żonę miał młodą też wykształconą o imieniu Anna. Jeszcze w Iraku zostało ona od niego oddzielona i wysłana, tak jak inne polskie rodziny do Afryki, do

Tanganiki – Irunda Ifunda. Byli bezdzietni, przy każdym odbiorze wysyłał je 2 funty angielskie na dożywianie.

Pewnego razu przypomniałem mu o zajściu w namiocie w obozie w Suzak i o ludziach, którzy byli tam aresztowani. Piekło powiedział, że mnie nie pamięta, że tam byłem, a o zajściu z Uzbeczką sobie przypomina i że mu było wtedy ciężko na sercu. Od tego czasu nasze żołnierskie koleżeństwo jeszcze bardziej scementowało się. Ja jemu ten występek przebaczyłem – wiadomo służba i wojna.

Kiedy byliśmy w ogniu, czy w oddziale Piekło zawsze był wesoły i nieustraszony. W piechocie bardzo dużo ludzi ginęło i musiały być ciągle uzupełnienia z innych jednostek, również z naszej został zabrany Piekło. Często go potem jeszcze widywałem, zawsze był smutny. Podczas polskiego ataku na miejscowość Rippe strzelec Władysław Piekło został zabity, leżał na jezdni pod jednym z domów. Poznałem go nie po twarzy, ale po pierścionku, który nosił na palcu, który był ukuty z polskiego srebrnego pieniążka. Oboje Piekłowie pochodzili z Leżańska k/Łańcuta.

A oto czwórka „aresztantów” z twierdzy suzowskiej:

1. Piotr Rodziewicz – kapral, celowniczy dział ciężkich, stal, rur.  
Zginął pod Ankoną, rocznik 1902, Wilnianin.
2. Władysław Konieczny – plutonowy, dowódca działonowy.  
Ciężko ranny pod Monte Cassino, wyleczył się z ran,  
Pozostał na emigracji, rocznik 1913, Wielkopolanin.
3. Kazimierz Pakuła 35 – kapral działonowy.  
Zginął pod Monte Cassino, rocznik 1914, Łodzianin.
4. i ja: Stefan Kluczykowski – kapral.  
Autor tych wspomnień, rocznik 1908, Wielkopolanin.

W ciągu tych trzynastu dni naszej drogi do doliny Fergańskiej, ciepłą strawę wydano nam na 2-ch stacjach kolejowych w Aktjubińsku i Kazalińsku. 16 lutego 1942 r. z Dżałał-Abadu nasza kompania (K mm B-3/82) odbyła jeszcze 16 kilometrowy marsz na nowe miejsce postoju Sposowka w Kołchozie Kirowa, gdzie otrzymaliśmy znowu materiał na stawianie domków – NAMIOTY. Zastaliśmy tam już sporo naszych polskich rodzin wywiezionych w zimie 1939/1940 – bardzo wynędzniałych, słabych i chorych – dożywiali się z naszego kotła. Dla nas żołnierzy ten widok tych ludzi był trudny do opisania.

Na nowy miejscu postoju nie próżnowaliśmy, odbywały się męczące ćwiczenia, piechota ciągle w terenie – wykorzystywała nowy teren do natarcia i również do obrony. Artylerzyści, ciągle przy uwijali się przy działach (w założeniu prowadzili ogień w różnych kierunkach i azymutach).

Dolina Fergańska, taka jest jej właściwa nazwa, otoczona wielkimi górami od wschodu, najwyższy jej szczyt „Czam-szam” przez cały rok jest ośnieżony, natomiast w czasie gorącego lata powiększają się potoki górskie, z których to mieszkańcy zaopatrują się wodę na cały rok, gromadząc ją w głęboko wykopanych dołach. Studni, takich jak u nas tam się nie spotyka. Ludność miejscowa trudni się uprawą bawełny. Mieszkają w ulepionych z gliny domkach – bez mebli, a w nocy śpią na poukładanych matach, a jako pościeli używają kołder watowych. Posiłki spożywają z drewnianych miseczkach bez łyżek, trzema palcami. Kobiety mężatki poza swoim domem zasłaniają swoje twarze gęstą czarną tkaniną, dziewczęta chodzą w długich kolorowych portkach, a nieco krótszych jakby worki – sukniach też w kolorze czarnym. Każda z nich na głowie ma uplecionych kilkanaście na trwale



warkoczyków. Każda też ma prawie na twarzy wytatuowany znak tuszem, że jest sprzedana dobremu i znajomemu mężczyźnie.

Po dwóch tygodniach przeniesiona nas o 20 kilometrów dalej do miejsca postoju Suzak. Dowództwo 15 pp mieściło się w budynku murowanym, zaś wszystkie kompanie pod namiotami. Kąpaliśmy się tylko raz w miesiącu i to w porze nocnej, wychodziliśmy o 20-tej, a wracaliśmy, gdy świtało. Wyglądało to jakby był ćwiczenia nocne, a spać mogliśmy do południa, taki był rozkaz!

Najbliższe od nas miasto to był Dżałał-Abad, w jego miejskim szpitalu na wiosnę 1942 roku, chorowało bardzo dużo naszych kolegów i ja również tam chorowałem. Tyfus plamisty, nie tylko nas dziesiątkował, ale i piątkował. Zmarło na niego bardzo dużo naszych rodaków, między innymi: Edward Skonieczny – spod Torunia, Jan Graniczny z Wójcina k/Strzelna, Piotr Balcukiewicz z Polesia, cała trójka była z naszego plutonu. Moja choroba była nieco inna – hemocolitus (krwawa biegunka), spodni nie zapinałem – nosiłem je trzymając w ręku.

W pobliżu naszych namiotów znajdował się cmentarz miejscowej ludności. Były tam same kopczyki, stare porośnięte trawą i świeże bez żadnych pamiątkowych przedmiotów. Pogrzeb zmarłego odbywał się w obecności rodziny. Zwłoki odziane były w płótno, ułożone w dołku w pozycji siedzącej i zalepiane gliną. Następnego dnia o wschodzie słońca przychodziło – oczywiście za opłatą – kilka na czarno ubranych kobiet z twarzami zasłoniętymi i przy mogile bardzo głośno płakały, a ich wydawał się, jak głos wyjących szakali.

Tyle o miejscu naszego pobytu, o miejscu w tym zakątku azjatyckim, w którym dane było nam jakiś czas przebywać - o terenie, o ludziach tam zamieszkałych i o ich życiu.

Rząd ZSRR dążył do aby polskie wojsko zostało do walk na froncie. Pragnęli bardzo od kogoś pomocy. Front był bardzo długi, ciągnął się od Wielkich Łuk na północy aż do Stalingradu na południu. Na dowód tego w dniach 27 - 28 lutego 1942 roku zostały przeprowadzone ćwiczenia bojowe w górach, oddalonych od naszego miejsca postoju o cztery godziny marszu i inspekcji tych ćwiczeń wzięło udział bardzo dużo generałów i oficerów radzieckich, które były przez nich filmowane. Ze strony przeciwnej npla nie było - w założeniu było tylko pozorowanie. Natarcie naszych wojsk połączone było z ostrym strzelaniem z broni moździerzowej i artylerii pal`u, na znak rozpoczęcia piechota ruszyła z podstawy wyjściowej do natarcia, broń ciężka kładła ogień zaporowy przed piechotą a w miarę potrzeby ciągle go wydłużała. Przez lornetkę można było dobrze widzieć tę scenę, ciemne plamy w podskokach na białym śniegu wykorzystywały teren i wybuchy pocisków, nie ponosząc żadnych strat. W pewnej chwili w centrum natarcia posuwających się piechurów powstało jakieś zamieszanie. Byłem obserwatorem dowódcy kompanii, przez moje szkła zauważyłem czerwone plamy krwi na śniegu, natychmiast głośno krzyknąłem:

- Widzę przed nami rannych!

Na ten wyraźny krzyk dowódca prowadzący ćwiczenia rozkazał przerwać ogień, stojący obok dowódcy trębacz zagrał trzykrotnie przerwij ogień. Natychmiast kilkunastu lekko rannych odwieziono do szpitala. Nasi dowódcy i radzieccy goście długo jeszcze prowadzili

odprawę na temat tych ćwiczeń. Goście z miejsca stwierdzili wysoki poziom wyszkolenia bojowego. Gdyby nie sprzeciw ze strony naszych dowódców użyliby nas na najtrudniejszym odcinku. Czy my wówczas byliśmy zdolni zmierzyć się z wrogiem? Wiedział o tym dobrze nasz Naczelny Wódz, kiedy wizytował nas przed trzema miesiącami tj. w dniu 14 grudnia 1941 roku.

## **Etap VI. Niezupełnie wyjaśniona sprawa**

20 września 1941 roku nowo przybyły do ZSRR ambasador R.P. prof. Stanisław Kot w rozmowie z radzieckim wiceministrem Wyszyńskim poprosił o wszczęcie poszukiwań brakujących oficerów, po czym prośba została poparta notą rządu z 27 września br. W kolejnej rozmowie Kot – Wyszyński padło zapewnienie dyplomaty radzieckiego, że wypuszczeni zostaną jeńcy, jacy jeszcze się znajdują na terytorium ZSRR. Mimo zobowiązań ani jeden oficer więcej nie został z niewoli zwolniony, zatem Biuro Opieki nad rodzinami wojskowych przy Dowództwie Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR dostarczyło ambasadorowi Kotowi listę 3840 nazwisk brakujących oficerów opartą o zeznania Grazowczan z Kozielska. Listę tę ambasador Kot wręczył 22 października 1941 r. ministrowi Mołotowowi, po czym 2 listopada br. Interweniował raz jeszcze u wiceministra Wyszyńskiego uzyskując odpowiedź, że jeżeli zostanie jeszcze jeden oficer polski w niewoli, sprawcy przetrzymywania ich zostaną ukarani, o czym zostanie powiadomiona ambasada Rządu Polskiego. Z kolei 8 listopada br. ambasador Kot otrzymał notę pisemną Mołotowa informującą, że wszyscy oficerowie polscy zostali już zwolnieni. W związku z przygotowaniem do wizyty w ZSRR premiera i Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego, w dniu 14 listopada br. Stalin przyjął ambasadora Kota. Kot poruszył sprawę brakujących jeńców, na co usłyszał odpowiedź Stalina, że oni uciekli zagranicę. Wreszcie 3 grudnia 1941 roku doszło do rozmowy gen. Sikorskiego, gen. Andersa i ambasadora Kota ze Stalinem i Mołotowem. Rozmowa była protokołowana obustronnie.

Oto fragmenty dotyczące jeńców.

Sikorski:

- Stwierdzam wobec Pana Przewodniczącego, iż jego oświadczenie o amnestii nie jest wykonane, dużo i to najcenniejszych naszych ludzi znajduje się jeszcze w obozach pracy i więzieniach.

Stalin:

- To niemożliwe, gdyż amnestia dotyczyła wszystkich i wszyscy Polacy byli zwolnieni.

Anders:

- Mamy najzupełniej ściśle dane, że w obozach zwolniono najpierw Żydów, następnie Ukraińców i wreszcie słabszy fizycznie materiał roboczy Polski. Silnych zatrzymano, gdyż komendanci poszczególnych obozów mając obowiązek wykonania planu produkcyjnego nie chcą pozbyć się materiału roboczego.

Sikorski:

- Nie naszą jest rzeczą dostarczać rządowi ZSRR dokładnych spisów naszych ludzi, ale pełne listy mają komendanci obozów. Mam ze sobą listę około 4 tys. oficerów, których wywieziono siłą i którzy znajdują się jeszcze w więzieniach i obozach pracy. Poleciałem sprawdzić czy nie ma ich w kraju, z którym ma stały kontakt. Okazało się, że nie ma tam żadnego z nich, podobnie jak w obozach naszych jeńców wojennych w Niemczech. Ci ludzie znajdują się tutaj, nikt z nich nie wrócił.

Stalin:

- To niemożliwe, oni uciekli.

Anders:

- Dokąd mogli uciec?

Stalin:

- No, do Mandżurii.

Anders:

- To niemożliwe, żeby wszyscy mogli uciec, tym bardziej, że z chwilą wywiezienia ich z obozów pracy i więzień ustała zupełnie korespondencja ich z rodzinami

Mołotow:

- Chyba to niemożliwe, by w obozach byli jeszcze ludzie!

Anders:

- Jednak najzupełniej dokładnie stwierdzam, że są - zatrzymują tam najsilniejszych, bo potrzebują robotników!

Stalin:

- To będzie załatwione. Władze wykonawcze otrzymają specjalne polecenia, trzeba jednak zrozumieć, że prowadzimy wojnę.

Sikorski:

- I dobrze ją prowadzicie.

Dalej upominanie się o oficerów, którzy do naszej armii nie przybyli, poparte było przedkładaniem coraz to dokładniejszych danych imiennych, nie przyniosły żadnego efektu rządu z dnia 28 stycznia 1942 roku i memorandum ambasady z dnia 19 maja tegoż

roku. Dopiero na notę ambasady z dnia 13 czerwca 1942 roku otrzymano odpowiedź stwierdzającą, że brakujący oficerowie są to uciekinierzy z obozu, których wyniszczyły choroby, gdy dążyli do granicy ZSRR z Chinami lub ukrywali się w tajdze. Ostatni raz sprawa brakujących oficerów poruszona została w rozmowie Kot – Wyszyński 8 sierpnia 1942 roku. Kot poprosił o dostarczenie przynajmniej spisów jeńców polskich wziętych do niewoli przez stronę radziecką. Wyszyński stwierdził, że spisów takich nie ma, na czym rozmowy zostały przerwane. Był to okres kiedy Stalin zorientował się, że w ówczesnym układzie stosunków nie można Armii Polskiej w ZSRR pozbawić na nią wpływów Rządu Polskiego, zdecydował się „wypchnąć” to wojsko z ZSRR. W tym celu Rosjanie przechwycili uzbrojenie nadesłane z Anglii dla Armii Polskiej, ograniczyli ilość dostarczonej żywności, zastopowali dalszy dopływ materiału żołnierskiego, po czym wyrazili zgodę na ewakuację wojska polskiego do Iraku.

Z chwilą pogorszenia się stosunków między Rządem Polskim a ZSRR, problem jeńców polskich z ZSRR znikł z areny dyplomatycznej. Natomiast coraz bardziej zaczęły tą sprawą interesować się władze Polski Podziemnej w kraju. Komórki wywiadu AK prowadziły zarówno w Polsce, jak i w oflagach poszukiwania brakujących oficerów. Nie odzyskano ani jednego. Żadnych dalszych danych wywiadowi AK nie udało się uzyskać, aż do października 1942 roku. Kiedy to grupka kolejarzy polskich obsługujących pociągi niemieckie na trasie Warszawa – Smoleńsk, dowiedziała się od handlujących z kolejarzami chłopów spod Smoleńska, że w pobliżu linii kolejowej w lasku koło podsmoleńskiej stacji znajdują się masowe groby jakichś Polaków pomordowanych wiosną 1940 r. przez NKWD. Na wskazanym miejscu

kolejarze ustawili dwa brzożowe krzyże. Wiadomość o polskich krzyżach dotarła do lokalnych władz niemieckich. W kwietniu 1943 roku Niemcy wysłali samolotem pierwszą polską delegację mającą na celu obejrzenie grobów, wyznaczyli do niej m. in. Emilię Kiepe – byłego konsula i historyka, ks. prałata Zygmunta Kobzkiego – byłego dziekana teologii Uniwersytetu Warszawskiego, znanych działaczy gospodarczych Janusza Machnickiego i Stanisława Wachowiaka – literata, dr Konrada Orzechowskiego – naczelnika Wydziału Szpitalnictwa i innych. 14 kwietnia 1943 roku Główny Komendant AK Stefan Grot-Rowecki wystosował do Londynu depeszę: „Niemcy odkryli grób kilku tysięcy naszych oficerów wymordowanych w marcu i kwietniu 1940 r. W oględzinach grobów wzięło udział kilku Polaków z Warszawy i Krakowa specjalnie tam zawiezionych. Ich reakcje nie pozwalają wątpić w autentyczność masowego grobu. Opinia jest wzburzona”. „Zachodzi konieczność zbadania odnalezionych masowych grobów i sprawdzenia przytoczonych faktów przez właściwą instytucję międzynarodową, jaką są władze Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Rząd Polski podejmie kroki w stosunku do tej instytucji o wysłanie delegacji na miejsce na którym miała się dokonać rzeź polskich jeńców”.

W dniu 25 kwietnia 1943 roku w odpowiedzi na prośbę powierzenia sprawy Katynia, bo tak nazywało się to miejsce, gdzie został znaleziony ten grób, Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi, ZSRR zerwała stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim.

Niemcy dopuścili do przyjazdu neutralnych dziennikarzy: Jaederlunde ze Szwecji, Tidniugena i Schneitzera ze szwajcarskiego „Der Bund”, wreszcie sami przywieźli delegację angielskich



i amerykańskich oficerów ze swych oflagów, a następnie zorganizowali przyjazd i badanie grobów przez europejskich kryminologów bądź profesorów medycyny sądowej: Speleersa z Belgii, Sexenu z Finlandii, Miłosiewicza z Serbii, Pelmierego z Włoch, Duleta z Holandii Birklego z Rumunii, Arsena z Węgier, Costedoatu z Francji i Neville'a ze Szwajcarii. Cudzoziemcom towarzyszyła kolejna delegacja P.C.K.

Orzeczenie Międzynarodowej Komisji potwierdziło niemieckie stwierdzenie i było całkowicie zgodne z opinią P.C.K. kierowanej przez dr Mariana Wodzińskiego z Krakowa – asystenta prof. Olbrychta. Wodziński wyznaczył na stanowisko de Szebestu, który był w tym czasie szefem służby zdrowia AK Okręgu Krakowskiego. Wraz z Wodzińskim pracowali: Władysław Buczek – anatom, patolog oraz laboranci z Krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej: Ferdynand Płonka i Franciszek Król, ponadto w charakterze laborantów lub sanitariuszy dołączeni zostali: Stefan Kasur, Jerzy Wodzinowski, Gracjan Jaworowski, Adam Godzik i Ludwik Rajkiewicz z Warszawy.

Oto fakty na miejscu ekshumacji.

W rozkopanych grobach odkryto 4143 zwłoki wszystkie w mundurach lub szczątkach mundurów polskich, ze śladami strzału w tył głowy, większość z rękami skrepowanymi lub śladami skrepowania sznurem z juty, a niekiedy drutem. Na wielu zwłokach widoczne były ślady ran kłutych bagnetem, oraz połamania szczęk kołbą. Wszyscy jeńcy zostali zabici amunicją niemiecką produkcji Gustaw Ganschof z Durlach, wyprodukowaną w latach 1920-1926, która była eksportowana do ZSRR w bardzo dużych ilościach. Przy większości zwłok znaleziono dokumenty, pamiętki, fotografie, notesy, gazety – w stanie dobrym lub szczątkowym, analizy których potwierdziły, że przedmioty te

znajdowały się w ziemi w takim samym czasie jak zwłoki. Treść dokumentów, które udało się oddzielić od ciał – to znaczy daty gazet, korespondencji, a przed wszystkim treść notesów i kalendarzyków i zawarte w nich zapiski świadczyły, iż żaden z tych przedmiotów nie pochodził z okresu późniejszego niż maj 1940 roku. Badania stanu rozkładu zwłok, stanu ubrań, analiza ziemi oraz roślinność na grobach świadczyły o powstaniu grobów nie później niż latem 1940 roku.

Świadkowie z pośród okolicznej ludności (5 zeznań, które posiada P.C.K. w swoich archiwach) stwierdzili, że widzieli w kwietniu i maju 1940 roku szereg przewożonych transportów nadchodzących do stacji kolejowej Gniezdowo od strony Smoleńska, widzieli również karetki więzienne jeżdżące ze stacji do lasu katyńskiego, a stamtąd słychać było strzały karabinowe.

Prowadzone także po wojnie poszukiwania i gromadzone informacje, zwłaszcza od tych nielicznych więźniów Kozielska, Starobielska i Osztaszkowa, którzy w liczbie około 400 osób przebywali również w obozie Pawliszczew-Bor, w którym ja byłem i zwolnieni stamtąd z końcem lata 1941 r. na mocy układu Sikorski-Majski, pozwoliły ustalić dalsze niezbite dane: tak zwane rozładowywanie wszystkich trzech obozów rozpoczęło się w pierwszych dniach kwietnia i trwało do połowy maja 1940 roku. Oficerów wywożono grupami liczącymi od kilkunastu osób. W każdym transporcie znajdowali się oficerowie różnych stopni zabierani z różnych baraków. NKWD najwyraźniej zależało na tym, aby nie przewozić w jednym transporcie grup bliżej ze sobą żytych. Przed wyjazdem rozgłaszano pogłoski, jakoby oficerowi ci mieli być przekazani zachodnim aliantom (te pogłoski były częstsze), albo wydawani Niemcom. W dniu wyjazdu

oficerowi ci otrzymywali obfitsze niż zazwyczaj jedzenie i zapas żywności na drogę. Niektóre transporty z obozu z Ostaszkwie były żegnane przez orkiestrę. Przed sformowanie transportu wszyscy byli poddani bardzo dokładnej rewizji, zabierano im głównie przedmioty twarde i ostre, które ewentualnie mogłyby posłużyć w celu samoobrony. Poza nielicznymi transportami, które ostatecznie dotarły do Pawliszczew-Boru, pozostałe transporty kierowane były z Kozielska na Smoleńsk, a istnieją dowody potwierdzające, że docierały one także do położonej kilkanaście kilometrów na zachód do Smoleńska stacji kolejowej Gniezdowo.

Z Ostaszkowa co najmniej jeden z transportów skierowany został na północ przez stację Białołoję, natomiast ze Starobielska większość transportów jechała przez Charków. W transporcie z Kozielska z dnia 29 kwietnia 1940 r. znajdował się prof. Stanisław Swianiewicz. 30 kwietnia transport ten minął Smoleńsk i zatrzymał się na stacji kilkanaście kilometrów na zachód od Smoleńska, a stacja tą było Gniezdowo, między tym przystankiem a następnym na zachód w Katyniu rozciągał się lasek zwany Kozią Górą, który był częścią lasu katyńskiego. O tym, że oficerowie polscy byli wywożeni do lasu katyńskiego, potwierdza zapis w dzienniku znaleziony przy niezidentyfikowanych zwłokach polskiego oficera, który brzmi tak: „jest pod wieczór (9 kwietnia 1940 r.) minęliśmy Smoleńsk, dojechaliśmy do stacji Gniezdowo, wygląda tak, jakbyśmy mieli tu wysiadać...”

Już na stacji w Gniezdowie prof. Swianiewicz został wyłączony z transportu przez płk NKWD i zamknięty w pustym przedziale, przez szparę w ścianie wagonu mógł obserwować, że do pociągu podjeżdżał

autobus o zamalowanych na czarno oknach i z drzwiami w tylnej ścianie, w ten sposób, że jeńcy mogli do niego wchodzić bezpośrednio ze stopni wagonów, nie stając na ziemi. Z obu stron wejścia do autobusu stali żołnierze NKWD z bagnetami na karabinach. Autobus zabierał około 30 jeńców i znikał za drzewami. Wracał mniej więcej po pół godzinie, żeby zabrać następną partię jeńców.

Po pewnym czasie prof. Swianiewicz został odwieziony samochodem do NKWD w Smoleńsku, a stamtąd do Moskwy, gdzie stanął przed sadem pod zarzutem szpiegostwa. Skazany został na osiem lat więzienia, dzięki czemu przeżył i został zwolniony po układzie Sikorski-Majski.

Dalszy przebieg zbrodni można odtworzyć tylko hipotetycznie. Dr Wodziński biegły sądowy i przedstawiciel P.C.K., który w ciągu kilku tygodni od połowy kwietnia 1943 r. dokonał badania zwłok kilkuset oficerów stwierdził w swym sprawozdaniu: „zwłoki ofiar miały związane ręce do tyłu sznurkiem i typowe postrzały w tył głowy. Co bez wątpienia dowodzi, że ofiary mordu stawiały przed śmiercią opór względnie, iż sprawcy mordu spodziewając się z ich strony oporu, zapobiegawczo wiązali im ręce do tyłu...”

Ułożenie kilkunastu szeregów zwłok w kilku regularnych poprzecznych warstwach, przy czym pierwsza warstwa leżała twarzą do ziemi z rękami w przeważającej części skrzyżowanymi do tyłu, druga zaś warstwa twarzą na nogach pierwszej warstwy itd., itd., pozwala przypuszczać, iż ofiary mordu wprowadzane były za życia do grobu, kładzione twarzą do ziemi względnie do poprzednich już nie żyjących, a dopiero potem w pozycji leżącej zastrzelone. Inne były zastrzelone nad wykopami, a zwłoki ich wrzucane beładnie do grobu.

O tym, że przynajmniej część ofiar stawiała opór i trzeba je było siłą kłaść na ziemi, świadczą dowolne rany klute bagnietami, popękane od uderzeń kości oraz worki zakładane na głowę. W siedmiu odkopanych grobach znajdowało się 4143 oficerów polskich, w ósmym grobie stwierdzono tylko zwłoki polskich jeńców, lecz nie zdążono ich odkopać. Można przyjąć, że łącznie w lesie katyńskim zamordowano około 4500 oficerów z obozu w Kozielsku. Miejsce mordu i wiecznego spoczynku około 9 tys. polskich oficerów z Ostaszkowa i Starobielska jest do dzisiaj nie znane...

Obecnie po 38 latach od tych zbrodni, Polacy jakby utracili pamięć, nikt teraz o niej nie wspomina. Nie wspomina prasa, milczy telewizja, w szkole nauczyciele historii nie uczą, a na ulicy to w ogóle na ten temat nikt nie mówi. Mówienie na ten temat jest bardzo ryzykowne – można utracić pracę lub „posiedzieć”, a w ogóle to byłaby obraza wielkiego naszego sojusznika, jakim jest ZSRR, który udziela naszemu krajowi wielorakiej pomocy. O tej pomocy mówi ciągle obecny przywódca Polski I Sekretarz PZPR Edward Gierek. Nie było nigdy dotychczas takiej gorącej serdeczności i przyjaźni jak obecnie między Polską i ZSRR.

Tę nie wyjaśnioną zupełnie sprawę opublikuje się zapewne po 100 latach – takie jest prawo międzynarodowe. Upłynęło już około 40 lat, to jeszcze dwa pokolenia Polaków musi poczekać za nim dowiedzą się całej prawy.

Teraz wracam do dalszego wątku moich wspomnień uczestnika II wojny światowej. Od 3 sierpnia 1942 roku wielkie przygotowania wojska polskiego do wyjazdu zagranicę. Wyjechaliśmy ze stacji kolejowej w Działal-Abad dnia 8 sierpnia pociągiem towarowy

przez następujące stacje kolejowe: Kokand, Samarkanda, Kagan, Aszchabad do Kranowodzka, gdzie dojechaliśmy w dniu 12 sierpnia 1942 roku. Krasnowodzka leży nad Morzem Kaspijskim. Tutaj zdaliśmy nasze uzbrojenie, które otrzymaliśmy przed rokiem od Armii Radzieckiej. Został otwarty punkt wymiany waluty radzieckiej – rubla. Mało było takich, którzy go posiadali, bowiem nas pieniądź w kieszeni się nie trzymał, wydawany był na jakiegokolwiek jedzenie – dożywiaaliśmy się. Żołd szeregowca wynosił 70 rubli miesięcznie. Za te pieniądze można było kupić siedem lepioszek (kołaczy), pieczone to było z mąki z wodą bez drożdży zagniecione, rzucane na fajery, u nich nosiło nazwę chleb. Innych produktów żywnościowych dla nas nie było. Papierosów nie otrzymywaliśmy, ani bibulek do kręcenia, jeden z kolegów, który palił, nie starał się o lepioszki tylko o machorkę i tak jego żołd też nie wystarczał do końca miesiąca.

W dniu 13 sierpnia 1942 roku załadowaliśmy się na statek radziecki „Żdanow”, jego ładowność została wykorzystana do ostatniego miejsca, palca nie można było włożyć. W tym dniu było bardzo ciepło i pot lał się z każdego z nas niesamowicie. Mimo wszystko, byliśmy wszyscy zadowoleni opuszczając ten kraj.

Na brzegu pozostał dowódca oddziału likwidacyjnego, lecz bez swoich żołnierzy, był nim nasz wyższy oficer 5 dywizji piechoty płk Zygmunt Berling ze swą małżonką. Małżonka jego płacząc, była zwrócona ku odpływającemu statkowi tak mówił:

- A my co teraz poczniemy.

Na to pułkownik:

- Nie płacz kochanie, damy sobie radę.

Po dopłynięciu do Iranu, po drugiej stronie Morza Kaspijskiego, przy opróżnianiu statku stwierdzono, że płk Z. Berling na statek nie wsiadł. Kilka dni później udał się do Stalina z propozycją formowania nowej polskiej armii, która otrzymała nazwę Dywizji Kościuszkowskiej.

## **Etap VII. Na kotle i żołdzie angielskim**

Tego samego dnia byliśmy na miejscu. Był wieczór, port i miasto Pachlevi było już oświetlono. Prowadzono nas czwórkami, jak się zorientowaliśmy w mieście wystawy sklepowe były obficie zaopatrzone. Nasi żołnierze występowali z maszerujących szeregów, wchodzili do sklepów by coś do jedzenia kupić, w pierwszej chwili nie wiedzieli jeszcze czy za ruble tutaj coś się dostanie, okazało się jednak, że tak, zostali oni przez Persów obsłużeni. Wracając do szeregów każdy miał w jednej ręce pszenne ciasto w drugiej wędlinę i z apetytem zjadał te smakołyki. Papierosów też nabyli i to jeszcze jakich! w bardzo ładnie opakowanych paczkach. To nie jak tam – w Sojuszu – lepiochy suche i machora z badyli!

Wprowadzono nas na plażę, była ona podzielona na trzy strefy A, B i C. Do strefy „C” wprowadzono nas wszystkich, którzy przybyli ze statku „Żdanow”, strefa „A” i „B” były uprzednio zajęte, do tych wstęp przez nas był wzbroniony.

Przeznaczono nam namioty afrykańskie, tropikalne z podwójnym dachem i ścianami, o dużych 2-ch masztach, „domki” takie mogły pomieścić do 30 ludzi. Już była późna pora dnia. Po podróży morskiej wszyscy twardo zasnęliśmy. Nagle nad ranem, słońce weszło do namiotu, przebudził nas krzyk Persów – handlarzy ze suto obstawionymi tacami, na których znajdowały się różne smakołyki i zachęcali nas do kupna, wołając: dobra grana! dobra grana! pawros! pawros! dziobruka! dziobruka! cioklet! cioklet! Na widok tego wszystkiego ślinkę tylko połykaliśmy, gdyż pieniędzy tamtejszych jeszcze nie widzieliśmy. Dopiero 3-go dnia przed południem wszyscy



otrzymali zaliczkowo walutę irańską w tumanach. Ja otrzymałem 200 tumanów i osiem rjaisów.

Otrzymywaliśmy pięć razy dziennie jedzenie:

- I śniadanie – chleb pszenny, codziennie pieczony (świeży) nie wydzielany, 0,5 litra mleka skondensowanego.
- II śniadanie – chleb z serem lub boczkiem plus kubek kakao.
- Obiad – dopiero pod wieczór ze względu na duże upały, ryż lub ziemniaki z kraszone z sosem, sztuka mięsa wołowego lub skopowego, zupa na kościach z przetworów zbożowych lub ryżu, kompot z różnych owoców.
- Podwieczorek – przeważnie jajecznica z proszkowanych jaj lub ryba smażona.
- Kolacja - herbata lub kakao i chleb.

Oprócz tego żołnierz otrzymywał gratisowo na tydzień 50 szt. papierosów angielskich lub amerykańskich ze znakiem „Victory”, plus papier toaletowy. A ponadto na dekadę razem z żołdem „Pomoc Wojska NAFI” przydzielała za niewielką opłatą: papierosy 100 szt., czekolada lub cukierki, mydło toaletowe, żyletka, pasta do zębów, pasta do obuwia, brylantyna do włosów, chusteczki do nosa i inne. Podoficerowie, od plutonowego wzwyż  $\frac{3}{4}$  litra whisky i  $\frac{3}{4}$  litra wina. Piwo też wszyscy piliśmy, przydzielone było po jednej butelce 0,5 litra dla każdego. Te dodatkowe przydziały i porcje żołnierskie pod względem jakości i ilości były otrzymywaliśmy niezmiennie do zakończenia wojny, gdziekolwiek się znajdowaliśmy.

Przeprowadzona integracja wojska poza teren ZSRR przez gen. Władysława Sikorskiego była bardzo mądrym posunięciem politycznym, inaczej byśmy byli u „towarzyszy” głodni i wykończeni.

Przebieg kwarantanny trwał 12 dni, co 4 dni przechodziliśmy do następnej strefy. Po 7-mio dniowym pobycie w brudnej strefie otrzymaliśmy ciepłą kąpiel przy której wydano nam czystą i nową bieliznę (2 pary) i umundurowanie tropikalne: koszula przewiewna, szorty i spodnie długie drelichowe, kapelusz tropikalny wykonany z liści palmowych, bardzo lekki oraz brezentowy worek na wodę. Natomiast nasze stare zawszawione umundurowanie rzuciliśmy na stos, gdzie zostało po lane ropą i spalone. Już w nowym umundurowaniu wprowadzono nas do 3-ciej strefy zwanej „A”. Po pięciu dniach pobytu w niej, już nie ci sami ludzie wsiadaliśmy do dużych ciężarówek irańskich, zaopatrzeni w suchy prowiant na drogę, zostaliśmy przewiezieni dalej. Na noclegi zatrzymaliśmy się, na pierwszą w Hamadanie, a druga mieliśmy pod gołym niebem. Trzeci dzień drogi najbardziej odczuliśmy przebywając w pobliżu granicy irańsko-irackiej – bardzo wysokie góry – droga ciągnęła się serpentynami nad przepaściami, kierowcy osiągnęli najwyższy pułap wysokości, a nam „podróżnym” brakowało powietrza w płucach, było bardzo duszno i przy tym był niesamowity upał, który wyczerpujący nasze organizmy. Dnia 29 sierpnia 1942 roku o godzinie 10-tej przed południem przybyliśmy na miejsce naszego nowego postoju w miejscowości Khanagin w Iraku.

Kwatery dla naszej dywizji wyznaczono w pobliżu rafinerii naftowej nad rzeką Alwant, 4 kilometry od miast Khanagin. Wszyscy żołnierze mieszkali w namiotach. Inne jednostki wojskowe otrzymały

kwatery w okolicach Kirkuku i Mosulu na północy tego kraju. Tu w Iraku nastąpiła reorganizacja jednostek w oparciu o etaty brytyjskie. Wyeliminowano całkowicie pułki piechoty, Z Brygady Karpackiej wstawione obroną Tobruku, utworzono 3-cią Dywizję Karpacka, a z resztek utworzono 5-tą Kresową Dywizję Piechoty. 5 Kresowa Dywizja Piechoty posiadała 2 brygady: 5 Brygadę Wileńską Piechoty i 6 Brygadę Strzelców Lwowskich, 6 Brygada Strzelców Lwowskich posiadała bataliony 16, 17 i 18, zaś 5 Brygada Wileńska Piechoty bataliony 13, 14 i 15.

Utworzone stany dywizji nie były pełne według etatu brytyjskiego, bowiem wielu żołnierzy musiało opuścić służbę wojskową ze względu na zły stan zdrowia. Parę tysięcy zostało odesłanych do Wielkiej Brytanii.

Po wyposażeniu w ubrania i sprzęt prowadzono zimą i wczesną wiosną 1943 roku bardzo intensywne szkolenia. Wszyscy żołnierze oddziałów specjalnych w batalionach piechoty odbywali kursy kierowców na wszystkich pojazdach jakie znajdowały się w naszej armii. Całość wojska, tutaj w Iraku otrzymała nazwę „Armia Polska na Wschodzie” (skrót APW). Zaraz po przybyciu na ten teren napisałem do redakcji naszej gazety wychodzącej w Bagdadzie o tytule „Orzeł Biały”, że poszukuję krewnych i znajomych z Polski, zamieszkających w okolicach skąd pochodzę. Po dwóch dniach odwiedził mnie mój krewniak, bratanek Jan Kluczykowski. Swoją obecnością u mnie sprawił mi dużą radość, że nie jestem sam, ale jest nas dwóch i znalazł się również ten trzeci, a był to mój szwagier L. J., który służył bardzo długo w 5 dywizji a konkretnie w 15-tej Kompanii Zaopatrzenia i Transportu. Nie wiedzieliśmy nic o sobie, może nawet blisko siebie

przebywaliśmy cały czas. Nie wiadomo. Pierwsze nasze spotkanie po wojnie odbyło się w obozie repatriacyjnym w Anglii, gdzie czekaliśmy na statek do kraju. Oboje z 5 Kresowej Dywizji Piechoty.

Z bratankiem odwiedzaliśmy się dość często. Na pierwsze spotkanie zaprosiłem go do restauracji przy rafinerii znajdującej w odległości 1 kilometra od mojego postoju, aby tam się dostać trzeba było przejść przez wartką rzekę o podłożu kamienistym, wprawdzie kiedyś znajdował się most nad tą rzeką, ale teraz już go nie było, ponieważ został zerwany przez burzę, która niedawno tu szalała. Na nasze szczęście po przyjeździe nad rzekę zauważyliśmy siedzących nad rzeką arabsów, którzy na swoich wychudłych plecach za niewielką opłatą przenieśli nas na drugi brzeg. Kiedy wracaliśmy wieczorem, czynność z przenoszenie została powtórzona i bez zamoczenia nóg wróciliśmy do swoich miejsc zakwaterowania. Przy forsowaniu tej rzeki, niektórzy z naszych chłopaków będąc pod wpływem trunków zażywali bardzo zimnej kąpieli.

Bratanek mój służył w 6-tej Brygadzie w 2-jej Kompanii Batalionu Strzelców, aby do mnie się dostać musiał przebyć odległość 15 kilometrów pustynnej drogi.

W marcu i kwietniu 1943 roku po zakończeniu wszystkich kursów szkoleniowych w dywizji, około 50-ciu nowo upieczonych kierowców wyjechało do Basry nad Zatoką Perską po odbiór różnego rodzaju sprzętu motoryzacyjnego, tj. różne typy samochodów, dźwigów, platform, pojazdów gąsienicowych i czołgów. W ciągu dwóch tygodni nasza dywizja została kompletnie zaopatrzona w różnego rodzaju sprzęt. W dniach po 15-tym kwietnia całe wojska z Kanakinu

zostało przerzucone już na własnymi środkami transportowymi w rejon „Oil Company” na północ Iraku.

Irak, kraj wielkich upałów już w maju było bardzo gorąco, nasze dowództwo miało gotowe programy całodziennych szkoleń od godziny 8 – 16 każdego dnia, planowano nas jak najlepiej przygotować do działań bojowych. I byłoby w taki sposób przez „naszych”, gdyby nie dowództwo brytyjskie, zmieniono porę naszych szkoleń, ponieważ w tym klimacie ta pora dnia jest najbardziej upalna i w tych godzinach całe życie obozowe zamierało, leżeliśmy w tym czasie pod namiotami brzuchami do góry i gasiliśmy pragnienie wodą. Tak było, gdy była ładna pogoda, natomiast kiedy szalał pustylny hamsin, sypał piaskiem, ostrym igliwem i czymkolwiek co stanęło mu na drodze, wtedy ratowaliśmy się przykrywając głowy kocem, czasem trwało to nawet 48 godzin, Dużo namiotów było zasypanych, powtarzały się zaspasy piaskowe, podobne do polskich zasp śnieżnych. Gdy minęły dni huraganu to roboty było niemało, trzeba było odrzucać piasek, trzepać koce i odzież. Nasze szkolenia zostały przeniesione na inną porę dnia, niż początkowo to było planowane, odbywały się wcześniej rano, albo po godzinie 18-tej. W ciągu całego lata nie było tam żadnej chmurki na niebie. Słońce prażyło, termometry wskazywały 60 i więcej stopni Celsjusza, a w cienia w ogóle, jak okiem sięgnąć nie było. Woda dowożona była cysternami do obozu, do ogólnego użytku przelewana była do pojemników brezentowych, w których nagrzewała się do temperatury 46 stopni C. Takiej wody nie piliśmy, chłodziliśmy ją w naszych woreczkach brezentowych, osiągało wtedy temperaturę od 10-12 stopni C. W miejscowości Habbanui nad Zatoką Perską było

zgrupowanie naszej artylerii przeciwlotniczej i tam notowano temperaturę nawet 72 stopnie C powyżej zera.

Cały obóz był każdej nocy oświetlony, rozstawiane były co 10 metrów puszkę 4,5 galonowe po biszkoptach, w których palona była ropa naftowa i w ten sposób oświetlony był cały nasz obozu. Mimo tych wszystkich zabezpieczeń, byliśmy w nocy napadani przez miejscowych Arabów, którzy w ten sposób chcieli zdobywać na nas broń, amunicję i inny sprzęt wojskowy. Takie napady zdarzały się często, wtedy nasze warty miały ostre pogotowie. Działała tutaj też piąta kolumna niemiecka. Bardzo dużo Arabów podchodziło w pobliże naszych linii oświetleniowych pod pozorem sprzedaży owoców południowych, jak również zatrutych napojów alkoholowych, które nasi żołnierze lubili bardzo. Wypadki zatrucia alkoholem zdarzały się często, czasem były duże trudności utrzymania ich przy życiu, w ten sposób próbowano obniżyć w nas ducha bojowego. Zdarzały się wypadki, że zamiast np. zubrówki była zwykła woda, na pierwszy rzut oka taka butelka wyglądała jakby była oryginalna, miała estetyczną etykietkę, była dobrze zalakowana, a w środku była trawka, nic dodać nic ująć.

Pod względem zdrowia nasi żołnierze przedstawiali dużo do życzenia, w Kanakinie w Szpitalu Polowy Nr 2, którym kierował dr Mozesa do kwietnia 1943 roku, póki nie został zlikwidowany, przebywało dużo chorych, przeważnie byli to przybyli z terenów ZSRR, u tych chorych była widoczna anemia i mimo długiego leczenia i dobrych warunków żywieniowych, ludzie ci nie przybierali na wadze, a ich kondycja była bardzo słaba.

Ja też przebywałem w tym szpitalu w sekcji nr 11a, chorowałem między 23 listopad a 8 grudnia 1942 roku na krwawą

biegunkę, w czasie mojego pobytu w szpitalu musiałem mieć spodnie w ciągłe gotowość do zdjęcia. Po wyjściu ze szpitala na dalszy odpoczynek i kurację skierowano mnie do 22 Indian Convalescent Depo w Kanakinie, przebywałem tam od dnia 8 grudnia 1942 roku do 19 stycznia 1943 roku.

Liczba chorych na malarię w Kirkuku dochodziła nawet do 40% stanu armii i ciągle się powiększała. Ta choroba też bardzo wyczerpywała organizm ludzki, trzy tygodnie i więcej męczarni, to godne pożałowanie tych chorych, bardzo wysoka gorączka, ciągle zimne dreszcze, po przebyciu tej choroby człowiek uczy się ponownie chodzić. Malaria – zimnica powstaje przez ukąszenie komara malarycznego o nazwie „widliszek”. Z obawy przed zarażeniem się ta choroba wszyscy spaliśmy pod moskitierami (siatka o bardzo drobnych oczkach), dostawaliśmy również pigułki przeciwmalaryczne. Służby nocne i warty pełniąc swoje obowiązki służbowe na twarze zakładali siatki, chodzili w rękawiczkach, nosili długie spodnie, rękawy musiały być opuszczone, natomiast skronie twarzy i szyja musiały być nacierane maścią przeciwmalaryczną.

Na początku czerwca, przez dwa tygodnie, cały 15-ty batalion korzystał z urlopu wypoczynkowego, dojeżdżaliśmy codziennie naszymi samochodami 3 tonowymi do rzeki „Litylzap”, oddalonej od naszego miejsca postoju około 40 kilometrów w kierunku w Mosulu, gdzie przez kilka godzin moczyliśmy się wodzie, w której czuliśmy się znakomicie.

Z przeciwnego brzegu byliśmy zaopatrywani przez Arabów w owoce, jak czarne i białe winogrona oraz arbuzy bardzo soczyste o smaku gruszek. Niczego więcej nam nie było potrzeba.

Przed rozpoczęciem naszego urlopu, nad tą rzekę wybrał się nasz pluton moździerzowy siedmioma carriersami (są to pojazdy gaśnicowe) w celu ich umycia i konserwacji. Dowódca tego plutonu por. Para na ten wyjazd udzielił zezwolenia, ale osobiście udziału w nim nie wziął. Dowódcą całości został sierż. Władysław Konieczny i on poprowadził całą kolumnę wozów nad tą rzekę. Po dojechaniu do niej cała kolumna się zatrzymała, jeden z kierowców wjechał pierwszy do rzeki i cały pojazd znalazł się pod wodę, żołnierze w nim siedzący wypłynęli na powierzchnię rzeki, wszyscy się uratowali. Za wszelką cenę chcieli żołnierze wyciągnąć ten pojazd z wody, ale w żaden sposób nie można było go wyciągnąć. Jeden z nich kapral Przymusiński (lata 24), obserwator dowódcy plutonu rodem z Poznania, najlepszy sportowiec w brygadzie, postanowił założyć linę na zaczep carriersa, w tym celu kilka razy z liną nurkował, ale silny wir wody wyrzucał jednak go na powierzchnię, podjęta ostatnia próba powiodła mu się i założył linę za zaczep, ale wtedy już nie wypłynął na powierzchnię, silny prąd wody mocno naprężył linę i śmiertelnie ranił kaprala, który wynurzył się wiszący na linie nie dając oznak życia. Nikt z obecnych nie pomógł jemu, wszyscy biegali po brzegu nie wiedząc co z robić, aby mu pomóc. Dopiero kiedy przyjechał ciężki dźwig wydobyto martwego kapral Przymusińskiego i zatopiony pojazd.

Wypadków różnych było bardzo dużo, w których ginęli ludzie, najwięcej podczas próbnych jazd w terenach górskich, gdzie drogi przechodziły nad przepaściami, były bardzo wąskie i kręte i odbywały się wymijania lub wyprzedzania pojazdów.

Pod koniec czerwca całe nasze wojsko znajdujące się w Iraku przygotowywało się wizyty Naczelnego Wodza i Premiera Rządu R.P.



gen. Władysława Sikorskiego. Choć słońce prażyło i pot zalewał twarz piechota ćwiczyła „równy krok” i defiladowy marsz szóstkami, było to dość trudne dla naszych piechurów – równanie szóstek i przepisowe utrzymanie odległości. Carriersiści, broń pancerna i czołgiści ćwiczyli jazdę dziesiątkami z szybkością 10 kilometrów na godzinę, przy tym wymagane było równanie i krycie – niełatwa to była rzecz, by to dobrze wykonać.

Wszyscy pragnęli, aby w dzień wizyty, pogoda dopisał, broń Boże, aby nie „ruszył” hamsin. W przyjęciu Wodza, za wyjątkiem chorych na malarię, służb gospodarczych i wartowniczych, wszyscy pozostali mieli wziąć udział w defiladzie. Na miejsce parady wybrano teren pustynny z dala od zagród tubylców i pól naftowych w odległości 12-tu kilometrów od miejscowości Kirkuku. Trybunę udekorowano flagami polskim, brytyjskim i irackim. Na środku trybuny stał nasz znakomity gość gen. Władysław Sikorski w otoczeniu brytyjskich władz centralnych i generalicji oraz władz irackich z regentem rządu Abdulem. Władze wojskowe APW reprezentował gen. Władysław Anders i jego sztab. Gen. Wł. Sikorski ubrany był w garnitur generalski, tropikalny, na głowie miał hełm tropikalny bez orzełka, na jego lewej stronie hełmu miał tasiemkę biało-czerwoną. Takie same umundurowanie mieliśmy my wszyscy jak generał Sikorski w czasie naszej defilady. Droga defilady na kilka kilometrów przed i za trybuną polana był ropą, aby nie podnosił się kurz w czasie naszego marszu.

Na czele defilady szli piechurzy, na czele każdego batalionu szedł i dowódca, maszerowali szóstkami. Nasz pluton moździerzy występował w grupie carriersów, naszą grupę jako całość prowadził mjr Kiedacz, dowódca 15 -tego rozpoznawczego pułku pancernego, za

nami postępowała artyleria wszystkich typów, następnie, w stalowych rumakach broń pancerna i różny ciężki sprzęt i bardzo ciężki sprzęt oraz czołgi Shermany. Końcówkę defilady stanowili na ciężkich angielskich „Meczlesach” motocykliści w liczbie około tysiąca – żandarmeria, regulacja ruchu i łącznicy-gońcy. Takiej parady wojskowej i na takim sprzęcie nikt z pewnością przed rokiem 1939 w Polsce nie widział.

Dnia 4-tego lipca 1943 roku radio podało złowrogą wiadomość: „dzisiaj w drodze powrotnej do Londynu po kilkunastu sekundach startu z lotniska na Gibraltarze runął do morza samolot gen. Władysława Sikorskiego, wszyscy pasażerowie zginęli, m. in. córka generała Helena Leśniowska, przewodnicząca Pomocniczej Służby Kobiet”. Na wszystkich nas żołnierzach wywarło to olbrzymie przygnębienie i żal, że zginął nasz wybawca z kraju niewolnictwa, nędzy i głodu. To jego zasługą było wydostanie tyle tysięcy obywateli polskich gnębionych i poniewieranych. Przez ten blisko rok, gdybyśmy tam jeszcze pozostali, połowa z nas byłaby tam pogrzebana. Był to mądry i wielki polityk polski. Flagi polskie, zostały na znak żałoby opuszczone do połowy masztu i długo jeszcze powiewały...

Cześć Jego Świetlanej Pamięci!

Kanakin i Kirkuk długo pozostaną w naszej pamięci. To wszystko w 1942/1943 tam przechodziliśmy. Ten tropikalny klimat z wysokimi temperaturami, woda, który nie dawała się schłodzić nigdy, zimne dreszcze z połączone z gorączką malaryczną, żołnierzy na posterunkach ubranych, jak „pszczelarze”, którzy bronili się przed ukąszeniem komarów widliszków, nasze kwatery – domki o miękkich ścianach i twardych podłogach jak beton, na ziemi wysuszonej

z otworami i popękanej od żaru słonecznego, te wycia szakali nad ranem kiedy przychodził dopiero sen. Wszystko tu było jakby odwrotnie niż to co przeżyliśmy na dalekiej północy nad rzeką Pieczora w ZSRR, gdzie temperatury były bardzo niskie, co dawało różnicę temperatur około 110 stopni C, gdzie wszy nas zżerały, a tyfus plamisty zbierał swoje żniwo. Nie będzie już takich metryczek zgonu, które mówiły, że zmarł w szpitalu specjalistycznym w Bagdadzie żołnierz o nazwisku Stanisław Bąk, urodzony w roku 1912, pochodzący z kieleckiego, do roku 1939 policjant, w naszym wojsku kapral w 15 Batalionie Piechoty. Nie wiem, czy jego rodzina coś może wiedzieć jaki los go spotkał daleko od domu. Niech mu ta ziemi iracka znad Eufratu i Tygrysa – lekką będzie C.J.P.

Cała Armia Polska w dniu 25 września 1943 roku zmieniła swoje miejsce pobytu. Podróż samochodami trwała pięć dni. Na pierwsze dwie noce zatrzymaliśmy się w bazie, gdzie otrzymaliśmy posiłek i wodę oraz suchy prowiant. Noc trzecią spędziliśmy na dalekiej pustyni w Transjordanii, bez żadnego zaopatrzenia i bez wody. Na noc czwartą, która wypadła w pobliżu Palestyny, zaopatrzenie mieliśmy już normalne.

W drugim i trzecim dniu naszej jazdy „chwycił” nas hamsin (wielka burza piaskowa). Początkowo trasa była wylana ropą, kierowcy bez trudu trzymali się jej, gdy czarna droga zniknęła, kierowcy zmuszeni byli do użycia kompasów, jechali na wskazany azymut, inaczej pobłądziliby w drodze i do tego jeszcze ten hamsin, nic nie było widać przed samochodami. Żołnierze w samochodach jechali otuleni kocami, nikt z nich nosa nie pokazał, żeby nie nałykać się kurzu. Była to ciężka i męcząca dla nas podróż. W miarę zbliżania się do Palestyny,

wyczuwaliśmy wilgotniejsze ale i bardzo ciepłe powietrze oraz widać było dużo zieleni. Inny całkiem odmienny kraj od tych, które dotychczas poznaliśmy, może trochę podobny do niektórych zakątków w Polsce. Otrzymaliśmy kwatery po Amerykanach, wszelkie wygody, woda bieżąca, umywalnie, wanny, łóżka z materacami, zagłówki z pierza, kuchnie, jadalnie – oddzielne dla podoficerów, dla szeregowych, kantyna, wielka hala do wyświetlania filmów. Baza ta nosiła nazwę „Beid Jirja”, znajdowała się kilka kilometrów od Rechowodu i kilkanaście od Gazy.

Kto by spodziewał się kiedyś, że zmuszeni wybrać los „turystów”, będziemy mogli zwiedzić ten kraj. Kraj Chrystusa Króla. Który tu żył jako człowiek, chodził po tej ziemi, nauczał i czynił cuda i tu został ukrzyżowany przez ówczesne władze. Dwudniowe zwiedzanie tych wszystkich świętych miejsc w Jerozolimie i okolicach, napawało każdego z nas jakiś strachem, bojaźnią i zarazem radością, że my mogliśmy zwiedzić to miejsce i podziwiać je. Nie będę długo na ten temat się rozwodzić, lecz tylko opiszę te miejsca, które tam zwiedzałem: w Jerozolimie – Ogród Oliwny (Getsemani), Bazylikę Konania, Wieczernik, Sadzawkę Syloe, suchy potok dawnej rzeki gdzie obok znajduje się Dolina Józefata, w której jak podaje Biblia ma odbyć się Sąd Ostateczny. Zdaje mi się, że tych miejsc zwiedziliśmy więcej, ale dzisiaj kiedy piszę te słowa wyleciały mi z pamięci. W Betlejem – Bazylikę Narodzenia Jezusa Chrystusa (dawną stajenkę). Miasto Nazaret zwiedziliśmy w czasie ćwiczeń, które tam się odbywały. Jest tam kościół – bazylika poświęcona Zwiastowaniu Najświętszej Marii Panny. Bardzo okazała budowla. Jej fronton zwrócony jest ku południu.

We wnętrzu tej świątyni jest komnata przedstawiająca warsztat ciesielski z narzędziami Św. Józefa.

Wszystkie te święte miejsca, jak zauważyłem i dzisiaj to jeszcze pamiętam były przez nas Polaków z wielką czcią, powagą i godnością otaczane. I nie tylko my Polacy umieliśmy znaleźć się w tych miejscach godnie i pobożnie, ale również inne grupy narodowościowe, jak Kanadyjczycy, Anglicy, Nowozelandczycy i inni, swym przykładem okazywali dużo pobożności i godności.

W Jerozolimie przebywaliśmy 24 godziny. Wszyscy oprócz mnie i jednego kolegi Franka B., który obecnie mieszka w Janikowie, zaparkowawszy swoje wozy rozbiegli się po mieście aby zabawić się. Franek dał się namówić, chociaż też miał chęć pójść z kolegami, aby wstać jutro wcześniej rano i pójść do bazyliki i nad grobem Chrystusa Króla pomodlić się w intencji naszych rodzin w kraju. Te noc przespaliliśmy na podłodze naszego samochodu, a rano poszliśmy do bazyliki i się pomodliliśmy, co nam dało wewnętrzny spokój, że ktoś będzie czuwał nad naszymi rodzinami w ten niepewny czas.

Dużo katolickich miejsc jest w posiadaniu mahometan, pilnowane są one przez przewodnika z dozorcą, aby do nich się dostać trzeba zapłacić za wejście i wtedy można zwiedzać. Wpuszczana była tylko 10 osobowa grupa. Służba dozorca była całodzienne, leżał on przed wejściem na obdartym tapczanie z kluczem przewieszonym przez szyję.

W dniach 21 – 29 października 1943 roku odbyły się 8-miodniowe ćwiczenia dywizyjne w północnej Palestynie. Manewry odbyły się z udziałem wszystkich broni pancernych i przeciwlotniczych według modelu organizacyjnego angielskiego, obserwowane były przez

wyższych oficerów sztabowych i generałów brytyjskich. Po zakończeniu manewrów i powrocie do miejsca postoju stwierdzono, że 99% żołnierzy wyznania mojżeszowego (Żydów) nie wróciło z ćwiczeń do swych oddziałów – zdezerterowali do Izraela, który uznali za swoją nową Ojczyznę. Nasze władze wojskowe przyjęły tę wiadomość obojętnie, nie robiąc żadnych dochodzeń i poszukiwań tych dezertorów. Sprawa ta stanęła w martwym punkcie.

W tym kraju, tj. w Izraelu, mieliśmy możliwość poznania prowadzenia gospodarki rolnej przez tamtejszych rolników. Otóż na najlepszych ziemiach osiedlili się i gospodarują Żydzi w większości pochodzący z Polski i Niemiec. Gospodarka rolna stoi tam na wysokim poziomie, ich grunty nawadniane były własnymi urządzeniami – deszczowniami oraz wybudowanymi z betonu kanałami, które doprowadzały wodę wszędzie tam, gdzie zachodziła potrzeba użycia jej – pod ogrody pomarańczowe, pastwiska i inne pola uprawne. Na całej pustyni, w ciągu dnia i w ciągu nocy słychać było silniki spalinowe pompujące wodę. Z ogrodów pomarańczowych 3-krotnie osiągnęte są zbiory. W każdej miejscowości w Izraelu można rozmówić się po polsku. Dużo można spotkać szyldów nad sklepami zakładami rzemieślniczymi tylko w języku polskim, np. krawcy, szewcy, zegarmistrze itp.

Kąpaliśmy również się w Morzu Martwym (10 km od Jerozolimy), woda w tym morzu jest bardzo słona, po zanurzeniu w niej nie można utonąć, a po wyjściu z tej wody trzeba opłukać się w słodkiej wodzie, ponieważ ma się bardzo długo wilgotne ciało. To już wszystko co napisałem o Ziemi Świętej.

Gdy nasze wojsko znajdowało się jeszcze w Iraku to dostało przydział do 8 Armii Brytyjskiej. Miało ono za zadanie zabezpieczyć przed wrogiem, którego nigdzie nie brakowało, wszystkie pola naftowe w Iraku. Niemcy w tym czasie powoli dalej i dalej posuwali się w poszukiwaniu trzech rzeczy: benzyny, benzyny i jeszcze raz benzyny. Byli tuż, tuż blisko Aleksandrii i za wszelką cenę pragnęli opanować pola naftowe w Iraku i nie tylko w Iraku, ale to się im nie udało. Czuwała tam bowiem 8 Armia Brytyjska, do której my też należeliśmy. Świadczy o tym cmentarz poległych żołnierzy wroga w El-Alamain w pobliżu granicy egipskiej. Spotkać tam można było mogiły min. z nazwiskami polskimi przymusowo wcielonych do Wehrmachtu z polskich terenów: Pomorza, Śląska i Wielkopolski. Tysiące żołnierzy niemieckich dostało się do niewoli brytyjskiej, a niewielka ich ilość została ewakuowana do Włoch. Niemiecki ten korpus nazywał się AFRIKA KORPS i był dowodzony przez Generała Rommla. Z Niemcami w Afryce współdziałali również Włosi.

W dniu święta Rzeczypospolitej 11 listopada 1943 r. odbyło się uroczyste wręczenie Sztandaru 5-tej Dywizji ufundowanego przez Uchodźstwo Polskie w Jerozolimie. W tym dniu było duże święto naszych wojsk, odbyła się wielka defilada, którą przyjął dowódca Generał Dywizji Władysław Anders w miejscowości Rechowod.

Dzień 13 XI. 1943 r. był naszym ostatnim dniem pobytu w Tel-Awivie i Hajfie, bowiem trzy dni później skierowani zostaliśmy z Palestyny do Libanu w rejon Trypoli. Tam odbywały się wielkie i męczące ćwiczenia w górach – 20 km na wschód od Trypoli. Góry te swym wyglądem i kształtem podobne są do masywu górskiego na Monte Casino, z tą tylko różnicą, że zamiast klasztoru stoi tam do dziś

jeszcze chata góralska. Już wówczas było wiadomo, że alianci tam walczący twierdzy tej nie zdobędą. To właśnie my Polacy przez takie góry będziemy wracać do kraju, do Polski. Dali nam to do zrozumienia angielscy sztabowcy, którzy te ćwiczenia prowadzili i bacznie je obserwowali. Była to ostatnia zaprawa w ćwiczeniach na bardzo górzystych terenach Środkowego Wschodu. Święta Bożego Narodzenia 1943 r. obchodziliśmy w Libanie, w miejscowości Beshmezine w ogrodzie oliwkowym na murawkach, gdzie kwaterowało wojsko całej 5 KDP. W święta gościł u nas gen. Kazimierz Sosnkowski. 29. XII. 1943 r. pociągiem z miejsca postoju odjechaliśmy do Egiptu. W dzień sylwestrowy o godz. 14-tej przejechaliśmy Kanał Sueski. Cztery godziny później znaleźliśmy się na miejscu, w wielkim obozowisku różnych formacji alianckich o nazwie Qnassasin w delcie Nilu.

Do wyjazdu do Włoch pozostało nam około 2 tygodni, zorganizowano nam 2-dniowe wycieczki do Kairu. Wszyscy nasi żołnierze z niej skorzystali. Najpierw było zwiedzanie piramid Cheopsa, Men-kaura i sfinksa, meczetu sułtana Hasana (tureckiego), szejka Rafała i groby przodków Faruka I, miasto umarłych, Pałac Królewski i meczet Allego, muzeum starożytne i Muzeum Rolnicze teraźniejsze. Cztery godziny taksówką zwiedzałem stolicę Egiptu – Kair. Jedna z ulic, bardzo długa, prezentowała we wszystkich sklepach bogate wystawy przedmiotów ze złota i tylko ze złota. Dni, które nam zostały do pobytu tu na miejscu były wykorzystywane do przygotowania przeprawy morskiej do Włoch. Plutonu, w którym byłem, stan ludzi 52 osoby, został podzielony na osiem grup, w każdej po 6 ludzi na jeden okręt. Chodziło bowiem o to, że gdyby któryś z okrętów zatonął, pozostali



mogliby z powodzeniem po wyładowaniu na ląd walczyć bez większego uszczerbku dla pełnej gotowości bojowej.

Jeszcze wróć do pobytu na wspomnianej wyżej wycieczce w Kairze i piramidach. Dużo zrobiliśmy sobie tam zdjęć na pamiątkę, aby po powrocie do kraju mieć co wspominać. Każde takie zdjęcie kosztowało 0,25 funta egipskiego, był to „bakszysz”, słowo to jest znane na całym świecie i znaczy „jałmużna”. Myśleliśmy, że jak wrócimy do kraju po wojnie to pokażemy je rodzinie, ale stało się inaczej, przed wyjazdem na front do Włoch wszystkie własne przedmioty oddaliśmy do depozytu. Dużo było wartościowych paczek, zawierały one przedmioty ze złota jak również i drogie pamiątki. Były one starannie zapakowane na każdej był napisany adres w Polsce. Zapewniono nas, że po skończonej wojnie cały depozyt zostanie przesłany do Polski, ale już minęło przeszło trzydzieści trzy lata i jeszcze te paczki do nas nie dotarły – prawdopodobnie przepadły.

Cały korpus na okręty ładował się koło tygodnia. Każdego dnia odchodziło z pododdziału po kilku lub kilkunastu ludzi, zależało to od stanu jednostki. Ładowanie ludzi na statki odbywało się we wszystkich portach Afryki Północnej, jak również na Kanale Sueski, w Suezie, Port Saidzie, Aleksandrii, Tobruku i Trypolisie. Niektórzy z nas mieli szczęście odbyć tę podróż na polskim statku M/S „BATORY”. Mnie przypało zaokrętować się na statku angielskich linii oceanicznych „LONDON” w Port Saidzie w grupie „G” pokład A-1 miejsce 52 w dniu 15 lutego 1944 r.

*„Chwała tym wszystkim, którzy pozostali po naszej drodze marszu w Europie Wschodniej i na dalekiej północy. Nigdy oni już nie*

*wrócą na łono ojczyzny. Oddajmy im wszystkim cześć – choć jedną minutą skupionej ciszy.”*

O godzinie 14<sup>15</sup> wszystkie wyjścia ze statków zostały zamknięte, wszyscy „pasażerowie” z pasami ratunkowymi na swych miejscach. Śruby statków rozpoczęły pracę wprowadzając statki w ruch. Spokojnie bez żadnych głośnych sygnałów, pożegnanie z lądem – odbijały od brzegów, brały kurs na południowe Włochy a konkretnie na porty: Taranto, Bari, Neapol i Brindizi, rozwijając szybkość 18 węzłów na godzinę parły przed siebie.

*Hej uwaga! Zmarli i pomordowani – wszyscy Polacy w łagrach, na tyfus w szpitalach i wszyscy bezbronni wojacy.*

*Z nad Warty, Wisły i Bugu, Westerplatte i Helu. Wołamy tu z północnych portów, stańcie tu choć do apelu.*

*My teraz mamy lepszą broń, pomścimy się za Was i za Polskę. Za wszystkie obozy śmierci – za Oświęcim i za hitlerowską niełaskę.*

*Wracamy już teraz do okupowanej Europy z gorących piasków pustyni. Jesteśmy już teraz zahartowani dobrze i odporni brakiem Polski z pragnień.*

*Siadamy na statki, będziemy bić wroga i faszyzm Europy. Siadajcie razem z nami pójdziemy do natarcia lub w okopy.*

*O Panie, skrusz ten miecz co siekł nasz wolny kraj. Do wolnej naszej Ojczyzny – Polski nam wrócić daj.*

*Żegnaj! Ojczyzno Adama M., któraś pierwsza przyjęła osieroconych. Bez ojczyzny jej synów Polaków na razie tylko pokonanych.*

*Żegnaj! Kraju Rad – Półwyspie Kolski, Fegańska Dolino, wielki kolosie, tajgo i tundro nad Pieczorą w Idołdze, piękny dębowy lasie.*

*Żegnajcie! Upalne okolice Habbanyi i Basry, historyczny Teheranie, w Pachlevi piękna plaża białopiaskowa i zrujnowany Hamadanie.*

*Żegnaj! Kraju malaryczny i głośnie wycie szakali, pustynny hamsinie. Rafinerie naftowe w Kirkuku, Mosulu i małym Kanakinie.*

*Żegnaj! Salum Malajkum Jerozolimo i Nazarecie, w Tel-Avivie mowa polska. Farmerzy pól pomarańczowych i cała inteligencja hebrajska.*

*Żegnajcie! Porty, piramidy, meczety, miasto zmarłych, grobowce faraonów. Piękny błękitny Nilu, który użyźniasz ten kraj, Egipt, i dajesz życie owocne.*

## **Etap VIII. Powrót do Europy**

Ubezpieczenie na morzu przed ewentualnym nalotem lub innym zagrożeniem ze strony npla prowadziło silne lotnictwo RAF – Królewskie Siły Powietrzne – oraz jednostki morskie, wymienić tu trzeba, że udział w tej operacji brał polski niszczyciel „ŚLĄZAK”. Niezależnie od wymienionych ubezpieczeń, każdy statek posiadał cztery stanowiska ogniowe p-lot na konstrukcji stalowej umieszczonej nad mostkiem kapitana. Dobrze wyszkoleni celowniczo wie tych broni na zmianę pełnili tą bardzo ważną służbę od pierwszych chwili rozpoczęcia przeprawy aż do jej zakończenia.

Nasz czysto pasażerski okręt „LONDON” płynął – zdawałoby się jakby w samym centrum, z jego górnego pokładu, doskonale było widać wszystkie płynące w ugrupowaniu statki i w szerz, i w przód, i w tył. Jak okiem było sięgnąć w prawo czy w lewo najdalsze wyglądały jak maleńkie punkciki. Zdawało się, że wszystkie stoją na wodzie i nie płyną. Drugiego dnia byliśmy już na pełnym morzu. Usłyszeliśmy wówczas przez radio Roma – rozgłośnie niemiecką „Wanda” – audycję następującej treści: Polska tułacza armia wkracza na arenę wojenną w Italii.

Na każdym statku musiał być utrzymany ład, porządek i czystość. Do wszystkich zakątków na statku dochodził głos przez megafony od kierownictwa statku, wszystko musiało grać, jak w dobrze chodzącym zegarku.

W ciągu dnia urządzano próbne alarmy – na ten wyraźny rozkaz, kto żyw musiał szybko wyjść na górny pokład, nie zapominając przy tym zabrać pasa ratunkowego i żelaznej porcji „R”. Dla każdej grupy ludzi były wyznaczone miejsca zbiórek przy łodziach i tratwach

ratunkowych. Na zbiórkach alarmowych trzeba było stać aż do odwołania alarmu. Wszystkie posiłki były wydawane punktualnie, w ciągu pół godziny cały statek był nakarmiony. Dużo naszych ludzi przechodziło morską chorobę, bowiem z kilku posiłków musieli oni zrezygnować – wszystkim tym „chorym” zbrzydło jedzenie, a miejscem ich „cierpień” najczęściej był górny pokład na świeżym powietrzu.

Karawana statków przez 6 dni i nocy płynąc dotarła do wybrzeży Italii, nasz statek „LONDON” zatrzymał się na redzie, z jego pokładu przesiedliśmy się na duże łodzie rybackie dobijając nimi do miejscowości S. Marija kilka kilometrów od portu Taranto. Było do dnia 21 lutego 1944 r. o godz. 15<sup>00</sup>.

Witaj, więc Italio, Europo, Polsko umęczona zbliżamy się do Ciebie – Twój synowie!

O godzinie 16<sup>30</sup>, po marszu na własnych nogach doszliśmy na pierwszą kwaterę w tym kraju do S. Teresa w gaju oliwkowym pod namioty. Wszelki sprzęt bojowy: samochody, działa, carriersy oraz nasz ekwipunek żołnierski został wyładowany i odprowadzony wszystkim oddziałom na miejsce zakwaterowania w dniu następnym. Po sześciodniowym pobycie w tamtejszych gajach nasz II Korpus został skierowany na odcinek tym razem bojowy nad rzeką Sangro, zluźowaliśmy oddziały angielskie.

Zadania korpusu na tym odcinku miały charakter czysto obronny, choć przeprowadzono kilka uderzeń o lokalnym znaczeniu. Co dzień jednak odbywały się przede wszystkim wyprawy patroli, trwające zresztą niekiedy po kilka dni oraz przysłowiowe pojedynki artyleryjskie. W gruncie rzeczy wysiłek sprowadzał się do trzymania frontu, na tym właśnie odcinku raczej biernego. Rozstrzygnięć, jak już

wiemy szukano z konieczności gdzie indziej. Lecz działania nad rzeką Sangro miały znaczenie dla samych żołnierzy – piechurów – dając im niezbędną zaprawę bojową, W zaspach, w zadymkach śnieżnych strzelcy brnęli długo wertepami górskimi, żeby zaatakować patrol npla. Trudno było o lepszą szkołę przedsiębiorczości i wytrzymałości. Wiele ciężkiej pracy kosztowało artylerzystów skuteczne położenie ognia. Cały korpus hartował się i doskonalił współdziałanie swych różnorodnych jednostek. Straty naszego batalionu na tym odcinku wynosiły 18-stu ciężko i lżej rannych., jak do nich doszło – posłużę się faktami. Otóż w II kompanii 15 Batalionu Piechoty u por. Polkowskiego był strzelec pochodzenia ukraińskiego. Żołnierz ten opętany złymi myślami dopuścił się dezercji, przeszedł na stronę Niemców. Prawdopodobnie wyjawiał Niemcom nasze położenie, dlatego od tej pory Niemcy zaczęli nas trafnie ostrzeliwać. Nie długo potem kiedy nasza 18-stka rannych znajdowała się jeszcze w szpitalu. Doraźny Sąd Polowy wydał na tego strzelca zaocznie wyrok kary śmierci przez rozstrzelanie za zdradę tajemnicy wojskowej i dezercji z frontu.

Na reakcję ze strony Niemców nie musieliśmy długo czekać. Polski dezertor nie schodził im z myśli i zaczęli namawiać nas bardzo troskliwie i opiekuńczo wzywać do dezercji przejścia na ich stronę. Nawoływali przez megafon: *„Rzućcie broń, przechodźcie na naszą stronę, zapewnimy Wam wszystkie formalności dotyczące powrotu do waszych rodzin, jak to już uczyniliśmy z Waszym kolegą z 2-giej kompanii. Jesteście u Anglików białymi murzynami, oni Was pchają, gdzie najgorzej, a tak możecie ocalić swoje życie. Przechodźcie na naszą stronę!”*

Po odcinku nad rzeką Sangro oddziały polskie zostały wycofane w okolice Aliano-Vitticuso na nieograniczony odpoczynek, wykorzystaliśmy go dla celów leczniczych. 20 marca zostałem odesłany na zabieg chirurgiczny do szpitala nr 2 w Palagiano. Po dwóch tygodniach pobytu w tym szpitalu i udanej operacji zostałem skierowany do Domu Uzdrawieńców, który położony był nad morzem koło Tarantu. Około 20 kwietnia na własną rękę podjąłem ucieczkę z tego Domu do mojego macierzystego oddziału, który niebawem miał wejść w styczność bojową na Monte Cassino. Natychmiast po przybyciu na miejsce, gdzie stacjonował 15 Batalion Piechoty zameldowałem się u ppłk W. Stoczkowskiego, który do mnie powiedział tak:

- Dobrze, przydadcie się nam – i dodał: - za ten występek niech Was tutaj wojna rozgrzeszy, zależeć to będzie od Waszego osobistego szczęścia. W spokojnym czasie dałbym Wam najwyższy wymiar kary 14 dni aresztu średniego.

Przed ofensywą 2. Korpusu, w dniu 14 marca 1944 r. alianci w ciągu kilku godzin dokonali olbrzymiego bombardowania na wszystkie umocnienia masywu górskiego oraz na klasztor, rzucono wtedy 1200 ton bomb ciężkiego kalibru. 190 dział rozbijało artylerię niemiecką, 80 dział i ciężkich moździerzy dawało zasłonę idącym do szturmowi dziewięciu brygadam – 27 batalionom alianckiej piechoty nie udało się zająć i opanować nakazanych kierunków natarć, poniosły one olbrzymie straty. Był to ostatni atak aliantów na Monte Cassino.

Należałoby więc, wrócić i naświetlić jeszcze jedną sprawę, otóż naszym aliantom łatwo było stworzyć przyczółek i opanować południowe Włochy. Niemcy nie przywiązywali zbyt dużej wagi do tych

terenów, gdyż nie nadawały się do obrony, a raczej tylko powstrzymywali aliantów, by zdążyć na czas z fortyfikacją na Monte Cassino. Przy fortyfikacji na tym górzystym terenie pracowało tysiące Włochów – cywilów, budowali pod nadzorem niemieckim schrony żelbetonowe, zakładali zasieki z drutów kolczastych, budowali umocnienia oraz przedpola. Jak obliczyli nasi eksperci wróg ułożył powyżej miliona sztuk min różnego kalibru.

24 marca d-ca 8 armii gen. Oliver Leese zajął do Vincituro, miasteczka na drodze z Campobasso do Venafro, gdzie kwaterował czołgowy rzut sztabu 2 korpusu i spotkał się tam z gen. Andersem. W najpoważniejszej rozmowie w/g. notatki płk. Wiszniewskiego miała następujący przebieg.

Gen. Oliver Lesse:

- Wracam z odprawy w dowództwie frontu. Obecne natarcie korpusu nowozelandzkiego na Monte Cassino raczej wygasa i nie spodziewamy się już lepszych rezultatów. Zapadła decyzja generalnej ofensywy na wiosnę na odcinku od Morza Tyreńskiego po Monte Cassino włącznie. Do ofensywy będą użyte wszelkie siły i środki. 8 Armia otrzyma zadanie otwarcia drogi na Rzym co wymaga zdobycia wzgórz zamykających tę drogę oraz sforsowania rzeki Rapido na południe od klasztoru. Zdobycie klasztoru oraz wzgórz klasztornych postanowiłem powierzyć Korpusowi Polskiemu. Zdaję sobie sprawę, jak trudne i ważne jest to zadanie. Gdyby pan generale nie podjął się tego zadania będę zmuszony powierzyć je innemu korpusowi.



Po 10 minutach namysłu gen. Anders zameldował gen. Leese, że 2 Korpus podejmie otrzymane zadanie. Dla przygotowania przyszłej bitwy o Monte Cassino gen. Leese pozwolił wtajemniczyć tylko pięć osób, poza obecnymi na odprawie.

2 Korpus Polski posiadał 2 dywizje piechoty:

3 Dywizja Strzelców Karpackich	1 Brygada Strzelców Karpackich – bataliony 1, 2, 3 2 Brygada Strzelców Karpackich – bataliony 4, 5, 6
5 Kresowa Dywizja Piechoty	5 Brygada Wileńska Piechoty – bataliony 13, 14, 15 6 Brygada Lwowska Strzelców – bataliony 16, 17, 18

15 Batalion Piechoty - Kompania strzelców - składała się z 4-ch kompanii strzeleckich; kompania z 3 plutonów; pluton z 3 drużyn. W każdym plutonie 2 sekcje granatników. Bronie specjalne - pluton moździerz: 3 cal, 6 działonów 76 mm. Pluton rozpoznawczy: 13 carrierów lekko opancerzonych, płytkie wozy na gąsienicach. Pluton przeciwpancerny: 8 dziełek kaliber 57 mm.

5 Batalion Ciężkich Karabinów Maszynowych – składał się z 3-ch kompanii; kompanie z 3 plutonów po 4 ckm i kompanii moździerzy kaliber 4,2 cale.

Artyleria PAL – składała się z 4, 5 i 6 pal; z 3-ch dywizjonów po 2 baterie; bateria po 4 działa 25 funtowe.

5 papl – 3 dywizjony po 3 baterie, w każdej po 6 armat 40 mm.

5 pap panc. – 4 dywizjony po 3 baterie, łącznie 8 dziełek 6 funtowych, 1 bateria z 4 działami 17 funtowymi.

15 pułk pancerny – Rozpoznawczy pułk pancerny 3 szwadrony liniowe; szwadron dowodzenia razem 800 ludzi, 28 samochodów panc. 24 lekkie samochody ppanc., 60 carrierów, 8 dziełek ppanc., 6 moździerzy i kilkadziesiąt motocykli.

5 Batalion saperów.

5 Batalion łączności.

Ogółem 5 Kresowa Dywizja Piechoty liczyła 13 tysięcy ludzi.

Dowódcy polskich oddziałów:

2 Korpus – D-ca - Gen. Dyw. Władysław Anders

Z-ca d-cy - Gen. Bryg. Zygmunt Szyszko-Bogusz

Szef Sztabu - Płk dypl. Kazimierz Wiszniowski

3 Dywizja Strzelców Karpackich – D-ca – Gen. Bryg. Bronisław Duch

1 Brygada Strzelców Karpackich – D-ca – Płk Walenty Peszek

2 Brygada Strzelców Karpackich – D-ca – Płk dypl. Roman Szymański

5 Kresowa Dywizja Piechoty – D-ca – Gen. Bryg. Nikodem Sulik

5 Wileńska Brygada Piechoty – D-ca – Płk Wincenty Kurek

6 Lwowska Brygada Piechoty – D-ca – Płk dypl. Witold Nowina-Sawicki

2 Brygada Pancerna – D-ca – Gen. Bryg. Bronisław Rakowski

Grupa Artylerii – D-ca – Płk dr Ludwik Ząbkowski.

Dowódcy w 15 Batalionie Piechoty:

15 Batalion Piechoty – D-ca Ppłk Wiktor Stoczkowski

Z-ca d-cy Mjr Leon Gnatowski

1 Kompania – D-ca Por. Mirosław Świeściak

2 Kompania – D-ca Por. Józef Polkowski

3 Kompania – D-ca Por. Jan Jurkowski

4 Kompania – D-ca Por. Henryk Bartosik

Pluton 3-ch całowych moździerzy – D-ca Por. Eugeniusz Para

Pluton Rozpoznania – D-ca Por. Kolendo

Pluton Przeciwpancerny – D-ca Por. Lekia.

Kogo mieliśmy przed nami? Otóż przed nami był dowódca frontu włoskiego Feldmarszałek Albert Kesserling, a konkretnie pozycje przed nami obsadziła 1 Dywizja Spadochronowa. Składała się z ochotników dobranych pod względem wieku, stanu fizycznego, wyszkolenia i stażu. Dywizją dowodził Gen. Richard Heydrich. Bronił odcinka, który nam Polakom powierzono, ponadto obrona wzmocniona pułkiem grenadierów pancernych i samodzielnym batalionem alpejskiej piechoty wysokogórskiej, obsadzając najwyższe odcinki na Monte Cassino. Niemcy jeszcze rozporządzali na tym odcinku pułkiem nebelwerferów, było to czterdzieści potworów o 6-ciu sprężonych lufach, których pociski odpalane były równocześnie przewodem elektrycznym ze schronów. Dawały one potężny podmuch. Pociski, kuferki o kalibrze 150 mm, wystrzelivano trzema bateriami po trzy nebelwerfery. Poza tym rubież obronna nieprzyjaciela zagęszczona dużą ilością moździerzy. Jak z tego wynikało teren przed nami był zaminowany, nasycony dużą ilością broni strzeleckiej, a także wznoszący się ciągle w górę teren. Łatwo z tego można wnioskować, że zadanie przed nami było bardzo trudne.

Dolina Liry – pas kilkukilometrowy – była dzień w dzień od początku do końca akcji zadymiana. Dawało to możliwość przerzucania o każdej porze dnia żywności, amunicji oraz ewakuowanie rannych. Transport na Monte Cassino dokonywany był samochodami – łazikami, z których był przeładowywany na muły. W górach samochody stawały się nie przydatne do dalszego transportu, w dalszej drodze od mułów sprzęt i wszystko co muł posiadał na swym grzbiecie zabierał żołnierz na swoje barki i dostarczał na szczyty gór swoim oddziałom.

Bazą wypadową przez Dolinę Liry na Monte Cassino był wąwóz Inferno – piekielny, który był w zasięgu dział wroga. Droga wychodząca do niego była maskowana siatką i malowana farbą olejną. W różnych punktach przed wąwozem przy drodze stały tablice informacyjne dla kierowców: „Tu nieprzyjaciel okłada ogniem! To miejsce jest pod obserwacją wroga, tu jedź prędko!! Nie bądź głupi i nie daj się zabić!”

W tym też wąwozie znajdował się główny punkt opatrunkowy, najdalej wysunięta placówka służby sanitarnej. Mieściła się ona w dużym namiocie. Byłem świadkiem, jak również wielu innych żołnierzy oczekujących na wyjazd w górę, jak namiot ten został trafiony pociskiem artyleryjskim. Zginęło wtedy dwóch lekarzy i kapelan. Jednym z lekarzy, który wówczas zginął był dr Adam Graber z Warszawy. Znałem go, ponieważ leczył mnie i dokonał udanej operacji, po akcji nad „Sangro”, było to w szpitalu nr 2 w Palagiano.

Po odprawie na szczęblu wyższych dowódców przystąpiono do przygotowań do zluzowania aliantów. Saperzy korpusu przystąpili do poszerzania drogi, gdyż była to tylko ścieżka dla pieszych. Wyjście na wyższe „pagórki” z jaru „C” było niemożliwe dlatego też poszerzenie było konieczne. Saperzy budowali tą arterię dzień i noc pod ciągłym ogniem npla. Droga została wybudowana (poszerzona) przy znacznych stratach w ludziach i została nazwana „Drogą Polskich Saperów”. Arteria ta przedłużała transport kołowy (mieliśmy w 5 dywizji cztery kompanie transportowe) odciążała muły i żołnierzy od wnoszenia w górę ciężkiego sprzętu i ładunków jak: żywności, wodę, amunicję – której nasze moździerze potrzebowały bardzo duże ilości – i wiele innych rzeczy potrzebnych żołnierzowi w walce.

Po rozpoznaniu terenu przez naszych dowódców stwierdzono, że góra „593” będzie odcinkiem trudniejszym niż „Widmo”. Dowódca Korpusu gen. Władysław Anders nie sugerował dowódcom dywizji kierunków natarć, pozostawił to ich własnym decyzjom. Odkondu się więc ciągnięcie losów, gen. Sulik wyciągnął supełek, tzn. będzie atakował swoją 5 KDP w kierunku na „Widmo”, 3 DSK pod dowództwem gen. Duchy pójdzie na górę „593”.

„Widmo” – Fantom Ridge to góra nie rozpoznana przez naszych poprzedników. Dowódca amerykański prowadząc swój oddział w tym kierunku nagle zginął wraz z całym swoim oddziałem.

Role już rozdane, aktorzy niebawem staną na scenie teatralnej i wykonają dramat, który zadziwi widzów obserwujących ten teatr wojenny.

Zadanie do wykonania: nawiązać łączność z 5 Armią Amerykańską znajdującą się od nas na lewo wzdłuż Morza Tyreńskiego. Również nawiązać łączność z 13-tym korpusem angielskim działającym na prawo od nas, który posuwa się wzdłuż wybrzeża Adriatyku. Odizolować obszar góry klasztornej Monte Cassino od północy i południowego zachodu, opanować drogę nr 6 i utrzymać do chwili nawiązania łączności z 13 korpusem. Nacierać w kierunku góry klasztornej, wejść w styczność bojową na linii „Adolfa Hitlera” i nawiązać działania z zamiarem oskrzydlenia jej od północy. Na wykonanie powyższego zadania winno wystarczyć 12 batalionów, jednak rodzi się pytanie – czy to za dużo, czy za mało? Jak na górzysty teren walki liczba taka powinna wystarczyć na zdobycie wzgórze. Jednak było to o wiele za mało, ponieważ na wypełnienie strat potrzeba było dużo więcej żołnierzy.

My moździerzowcy z 15-go batalionu pod dowództwem porucznika Pary, zajęliśmy stanowiska 2 maja w wąwozie tuż pod nieszczęsnym „Widmem”. Okres ośmiu dni przed natarciem poświęciliśmy na dostarczenie amunicji moździerzowej, której na jedną lufę planowano 200 szt. Trasa od mułów do stanowisk ogniowych wynosiła 1000 m, a poza tym mordercze wejście na górę 60 stopni pod takim kątem wyczerpywały siły do kresu wytrzymałości. Ostatni odcinek trasy do naszych stanowisk to teren zupełnie otwarty, widoczny przez obserwatorów wroga, był ciągle pod ostrzałem ich moździerzy. Zaopatrzenie naszych oddziałów tą drogą kosztowało naszych ludzi-tragarzy wiele nerwów, potu i krwi. Ten ładunek, który tragarze musieli przynosić wynosił 200 kg na 1 człowieka.

Niezależnie od powyższego zadania wyznaczony byłem jako przewodnik dla Cypryckich, którzy prowadzili karawany mułów od miejsca załadunku aż do miejsca wyładunku, gdzie już czekali tragarze, aby dalej transportować te ładunki na pozycje ogniowe. Droga mułów wiodła przez niebezpieczny teren, muł mający na swym grzbiecie około 120 kg ładunku nieraz stawał nad przepaścią, ale nie spadał tylko szedł dalej. Mądre to i bardzo użyteczne były zwierzęta. Natomiast bardzo ostro reagowały na każdy większy wybuch, spłoszone wyrwały się z rąk mulników i nieraz przepadały bez wieści z całym ładunkiem. Chodziłem i prowadziłem w różnych sytuacjach bojowych i dostarczałem ten materiał wojenny naszym oddziałowo, chociaż byłem dopiero co po przebytej operacji.

Szatrą roślinną tamtejszych gór była leszczyna i inne kłujące krzewy, które bardzo kaleczyły nasze ciała podczas przechodzenia. Zaś dolina Liry i do niej przyległe grunty uprawne w czasie działań

wojennych nie były uprawiane, jej żyzna gleba porośnięta została czerwonymi makami, przez które torowaliśmy sobie ścieżki. Również torowaliśmy sobie ścieżki przez pola minowe, na których zostawialiśmy swoją krew.

Pluton na wyposażeniu posiadał: 3 samochody – trzytonowe, 1 samochód – półtoratonowy, 3 motocykle, 7 carriersów M3, 7 aparatów radiowych wzór 38, 6 moździerzy 76 mm, 10 Tomsonów (broń maszynowa), 40 karabinów ręcznych – pojazdy mechaniczne posiadały inicjały Żubr i cyfrę 52.

Skład osobowy plutonu 3 calowych moździerzy z 15-tego Batalionu 5 Wileńskiej Brygady Piechoty 5 Kresowej Dywizji Piechoty:

1. por. Eugeniusz Para - poległ
2. sierż. Władysław Konieczny – poległ
3. plut. Franciszek Basiacki – poległ
4. plut. Józef Budziszewski
5. plut. Antoni Mark
6. kapr. Marian Balcewicz
7. kapr. Stefan Kluczykowski
8. kapr. Józef Minuta – poległ
9. kapr. Piotr Rodziewicz
10. kapr. Stanisław Simiński
11. kapr. Józef Sobolewski
12. kapr. pchor. Zygmunt Strojnowski
13. kapr. Salamon Steinwurcel
14. st. szer. Aleksander Akulicz
15. st. szer. Mieczysław Bartosz
16. szer. Józef Czarnecki

17. szer. Jan Czubiniak
18. szer. Jan Duchnowicz
19. szer. Aleksander Francewicz – poległ
20. szer. Jerzy Iwanowski
21. szer. Jan Jackiewicz – poległ
22. szer. Zygmunt Karuszewski
23. szer. Jan Krokos
24. szer. Tadeusz Łopato – poległ
25. szer. Józef Marcewicz
26. szer. Stanisław Mikołajczak
27. szer. Jan Mirłowicz – poległ
28. szer. Aleksander Nikało
29. szer. Konstanty Nikawos
30. szer. Jakub Olechnowicz – poległ
31. szer. Jan Ordon
32. szer. Paweł Panasik
33. szer. Władysław Piekło – poległ
34. szer. Antoni Piszczako
35. szer. Paweł Piszczykiewicz
36. szer. Antoni Porejko – poległ
37. szer. Tadeusz Przygoński
38. szer. Kazimierz Sękowski
39. szer. Leon Skibiński
40. szer. Jan Siczko
41. szer. Feliks Skrzypczak
42. szer. Aleksznder Szabłowski
43. szer. Antoni Szklar – poległ



44. szer. Aleksander Walak

45. szer. Paweł Więckowski – poległ

46. szer. Michał Wojnisz

Pozostałych sześciu nie mogę sobie przypomnieć, moja pamięć w wieku siedemdziesięciu lat, kiedy spisuję te wspomnienia już mi zaczyna szwankować.

Na kilka dni przed naszą główną ofensywą na Monte Cassino łączność kablowa między plutonami a batalionem na skutek silnego ognia artyleryjskiego przeciwnika na całej linii została poprzerywana. Samorzutnie wybiegłem trzymając kabel w rękę, szukając uszkodzeń, aby ją naprawić, ponieważ łączność na wojnie musi grać! Udało mi się naprawić. Wracając do swoich przez otwarty teren, innej drogi wówczas nie było, zostałem obsypany gradem pocisków moździerzowych, a odłamki różnej wielkości padały bardzo blisko mnie, z tego piekła wyszedłem cały i zdrowy. Byłem tylko bardzo mocno ogłuszony. W tym dniu spotkało mnie – grande fortuna, jak mówią Włosi, a polskie przysłowie mówi: „Ludzie strzelają, a Pan Bóg kule nosi”.

Wprowadzono bardziej doskonalszy środek łącznościowy – radio z nadajnikiem i odbiornikiem wzór 38, pracowaliśmy na nim każdego dnia na innej częstotliwości, używając przy tym szyfrów i kodów zmienianych również każdego dnia. Ten nowy sprzęt łącznościowy okazał się być sprzętem niezawodny.

Po stronie przeciwnika od kilku godzin panowała pełna cisza, nie oddano w tym dniu ani jednego strzału. Jedynie dochodził do nas stukot łopat i kilofów. Niemcy, jak szczury, ulepsiali swoje stanowiska i schrony – coraz lepiej, coraz szybciej i coraz głębiej.

U nas 10 maja było już wszystko przygotowane, a mianowicie kierunki ognia, były wstrzelane i zanotowane przez celowniczych. Na naszym odcinku polskim 1500 dział było przygotowanych do prowadzenia ognia na główne stanowiska ogniowe nieprzyjaciela, 3 calowe moździerze piechoty w sumie 500 szt. Ostrzeliwać będzie ciągłym ogniem piechotę npla. Tak dużego nasycenia środkami ogniowymi terenu trudno było spotkać w walkach II wojny światowej, nic dziwnego, że każdy żołnierz otrzymał po 200 g rumu i watę do uszu.

Na parę godzin przed nawałą z moim dowódcą por. Parą byliśmy na punkcie obserwacyjnym na pierwszej linii wraz z oficerem artylerii. Po obu naszych stronach leżały kompanie 15 batalionu przygotowane do natarcia. Pluton naszych moździerzy pozostał z tyłu około 150 metrów.

Zbliżała się godzina „H”, wskazówki zegarków dochodziły do godziny 23<sup>00</sup>. Nagle rozpoczęła się wielka kanonada ogniowa, wszystkie działa i moździerze nasze i przydzielone przez aliantów jako wsparcie ostrzeliwały pełnym ogniem przeciwnika. Ziemia dudniła od potężnych wybuchów, skały kamienne pękały. Nad naszymi głowami miliony robaczków świętojańskich, ale to nie były robaczki świętojańskie, lecz nasze pociski tak świeciły. Popękałyby nam zapewne bębenki, gdyby nie wata w naszych uszach. Obsługi dział dużego kalibru miały kłopoty z chłodzeniem luf, ponieważ brakowało dostatecznej ilości wody do ich chłodzenia. Używano nawet wodę, która była przeznaczona do picia. Moczono w niej odzież, koce i wszystko co można było użyci do chłodzenia luf.

- Halo! – Barbara, Dorota, Roman! Cała trójka „B” azymut X po „5” i jeszcze raz po „5”.

- Halo! BDR cała trójka „S” azymut Y po „5” i powtórzyc!
- Halo! BDR cała „B” i „S” poszerzyć o „4” – wydłużyć o „5” – nie odkładać, czekać!

Wydawało się nam, że tego piekła nie przeżyjemy. Ogień zaporowy ciężkiej broni trwał 45 minut po przerwaniu nawały, piechota z podstawy wyjściowej ruszyła do natarcia. Kompania 15-go batalionu po przejściu zaledwie kilkunastu metrów zaplątała się w zasiekach kolczastych, na szczęście żołnierze mając nożyce do cięcia metali wybrnęli, posuwając się dalej natknęli się na pole zaminowane. Byli ranni i zabici.

Pierwsze natarcie stanęło – metr naprzód! Tak było po lewej i prawej stronie naszych sąsiadów, potwierdzić to mogą moi koledzy do dziś jeszcze żyjący, o tamtych krytycznych dniach: Marian Kaptur – mieszkaniec Lubinia k/Trzemeszna i Franciszek Szymański spod mogileńskiej wioski.

Nie było łatwo, było ciężko. W pierwszych dwóch dniach natarcia zginęło wielu naszych ludzi, m. in. dowódca 5 brygady płk Hurek, dowódca 13 batalionu ppłk Kamiński, ciężko ranny został nasz dowódca 15 batalionu ppłk Stoczkowski i wielu, wielu innych oficerów i szeregowców.

Ogień otrzymaliśmy bez mała ze wszystkich stron: z przodu z nieszczęsnego „Widma”, z prawej z S. Angello Monte Castellone i „706”, z lewej „593”. Nasi, niektórzy dowódcy zbyt pochopnie podchodzili do sprawy, jeśli chodzi o życie człowieka, nie znając dokładnie sytuacji w terenie podejmowali oni zbyt ostre decyzje, pchając ludzi na zagładę. Utkwił mi w pamięci taki szczegół: otóż jeden z dowódców kompanii pewnego batalionu grożąc pistoletem

drużynowemu i jego drużynie za zbyt powolne skoki naprzód podczas natarcia, w wyniku czego zginęło kilku ludzi w tym nasz kolega Delekta, mieszkaniec Wydartowa.

Przyczyną tego niepowodzenia w natarciu były w dużej mierze niepełne stany osobowe w naszych dywizjach. W myśl angielskiej organizacji wojskowej, dywizja składała się z trzech brygad. W naszym Korpusie z powodu braku ludzi dywizja posiadała tylko 2 brygady, zamiast 3-ch.

Następne cztery dni, tj. od 13 do 16 nie przyniosły wesołych wiadomości, często nasza piechota o zmniejszonych teraz stanach, wsparta ogniem moździerzowym podrywała się do natarcia, lecz bez sukcesów, przyduszała ich silny ogień nieprzyjaciela.

Siedziałem pod kamiennym głazem, obok mnie siedział mój dowódca por. Para, który też nie miał wesołej miny, jego też nie cieszyła sytuacja jakiej byliśmy. Nastawiłem aparat radiowy na Paryż i słyszymy piękną muzykę, którą to radio puszcza i je wyłączam, ta muzyka nas denerwuje! Ogarnia mnie myśl, a w szczególności pewien moment z naszego Września, który jest godzien przypomnienia, a mianowicie radio wówczas podało: nasza kawaleria w rejonie Krojant silnym ogniem i szablami zaatakowała oddziały niemieckie wbijając się klinem na parę kilometrów w głąb utraconego terenu. Bardzo to było pocieszające. Był to wielki sukces naszych chłopców z szablami, o który w tym czasie wojnie było mało. Chwała Wam Ułani z Grudziądza!

My tutaj w włoskich górach – 5 Dywizja – jesteśmy na równi z Niemcami jeśli chodzi o uzbrojenie, tylko nie posiadamy nebelwerferów. Oni okopani, w betonowych schronach bronią tego małego skrawka ziemi niczyjej. My od 5-ciu dni i nocy w ciągłym

i krwawym natarciu. Jutro zapewne zadecyduje ten dzień – kto kogo?  
A więc do jutra germańskie plemię.

Młodszy dowódca na niższych szczeblach z małymi garstkami żołnierzy raz po raz podrywali ich do ataku dodając im otuchy, krzycząc na całe gardło: „Trzecia kompania plutonami naprzód!”, „Drugi pluton bagnet na broń!” Jeden z żołnierzy robiąc skok naprzód wpadł na minę, która urwała mu nogę, zdążył jeszcze krzyknąć do kolegów: „Pluton naprzód już ją rozminowałem”.

Dopiero 18 maja wczesnym rankiem po konsolidacji sił próbowano raz jeszcze natrzeć na stanowiska wroga, które w poprzednich natarciach opłaciliśmy wielkimi stratami. Żołnierze atakujący teraz szli na całego – śmierć albo życie. Kto miał co w ręku: karabin, granaty, miotacze ognia, w schronach nasi żołnierze przeważnie używali białej broni. Biała broń na „szwabów” to coś okropnego! Już było widać, że Niemcy załamali się, przewaga już była po naszej stronie. Ten właśnie ostatni moment umiejętnie wykorzystaliśmy. Niemcy w ostatniej chwili przeprowadzili zmianę swych oddziałów na stanowiskach ogniowych. Przeprowadzona kanonada naszych moździerzy i artylerii spowodowała chaos i zamieszanie wśród żołnierzy niemieckich. Nasi żołnierze specjaliści od władania miotaczami płomieni dosmażali resztki ukrytych hitlerowców w schronach, najlepiej to wykonywał st. szer. Lipiński.

Żołnierze niemieccy byli już zupełnie wyczerpani tą długotrwałą walką, żaden z nich z tego miejsca, gdzie się znajdował żywy nie uszedł. Była to zemsta: za Wrzesień, za Warszawę, za rodziny nasze w kraju, za kolegów, którzy gdziekolwiek polegali!

Słyszałem jeszcze z dala sporadyczne wystrzały wroga, które po pewnym czasie zupełnie umilkły. 18 maja 1944 r. o godz. 10<sup>00</sup> koledzy z 12 pułku rozpoznawczego zatknęli na ruinach klasztoru Monte Cassino biało-czerwoną flagę. Radio podało meldunek „Masyw górski Monte Cassino został zdobyty przez oddziały 2 Korpusu Polskiego”. Dalszą inicjatywę w pogoni za Niemcami przejęły wojska brytyjskie. My zaś, żołnierze 2 Korpusu Polskiego schodziliśmy powoli w dół skąd mieliśmy odjechać na zasłużony odpoczynek. Jechaliśmy tylko do zagruzowanego Vilicusso. Któryś z kolegów zanucił:

*„Przejdą lata i wieki przeminą  
Pozostaną ślady polskiej krwi  
Czerwiejsze będą włoskie maki  
Bo z polskiej wzrosły krwi...”*

W drodze na odpoczynek do miejscowości Vilicusso niedaleko wąwozu Piekelnego, zawrócił resztki jeszcze żyjących żołnierzy rozkaz dowództwa 5 Brygady Piechoty – zawrócić i jechać w kierunku Piedimonte (miasteczko przy drodze nr 6 około 5 km od Cassino w kierunku północnym). Nazywała się brygadą, a posiadała stan ilościowy batalionu i ten właśnie batalion miał wesprzeć Anglików pod Piedimonte. Po zajęciu stanowisk ogniowych doszło do walki, Niemcy byli tu dobrze umocnieni. W rezultacie tej bitwy poległo jeszcze kilku żołnierzy, lecz w końcu nasze oddziały i angielskie zajęły to miasto, a raczej tylko to po nim zostało – same ruiny.

Z Piedimonte reszta batalionu powróciła do Vilicusso. Na drugi dzień tj. 20 maja na łące w pobliżu tej miejscowości odbyła się msza polowa w intencji wszystkich poległych naszych żołnierzy. Po odprawionej mszy ksiądz kapelan wygłosił wzniosłe, duchem

natchnione kazanie na temat zwycięskiej, ale krwawej walki. Oto fragment tego kazania, który pamiętam do dziś: „Jeszcze w szpitalach, jęć rannych kolegów nie ustał, jeszcze lufy armat i moździerzy nie wygasły, jeszcze nie zrobiono bilansu strat w ludziach, a tu znowu marsz dalej Polacy – bez wytchnienia?...” Właśnie na to nabożeństwo zajechał wóz z inicjałami wojskowymi „Żubr 74” z kilkoma żołnierzami, to mnie zainteresowało i podbiegłem bliżej, poznałem jednego z nich, był to sierżant Giel podoficer z 2-giej kompanii 17 batalionu strzelców, mój dawny znajomy z obozów z ZSRR. Na pytanie, a jak z moim Jankiem – bratankiem – na to on mi odpowiedział: „Jest ranny, leży w szpitalu w Campobaso, nie jest tak źle z nim, przyjdzie do siebie”. Dla mnie ta wiadomość była pocieszająca, lecz nie pewna. Jeszcze tego samego dnia odwiedziłem go, by sprawdzić naocznie jego stan zdrowia. Otóż nie było tak, jak mnie poinformowano, stan jego był bardzo ciężki, w chwili gdy zobaczyłem te rany stwierdziłem, że Janek tego nie przeżyje.

Należy tu wspomnieć, że we Włoszech walczyłem ja, jego wujek z 15 Batalionu Piechoty i on mój bratanek Jan Kluczykowski najstarszy syn mojego brata Grzegorza, rodem ze Strzelna, z ziemi kujawskiej, służący wówczas w 17 Batalionie Strzelców pod dowództwem ppłk Mieczysława Baczkowskiego. Odnaleźliśmy się daleko przed Egiptem, na pustyni irackiej. Często i wzajemnie odwiedzaliśmy się, dwanaście godzin przed natarciem na „Widmo” otrzymałem jeszcze od niego list, bardzo krótki list tej treści: „Jestem zdrow i czuję się doskonale, którego wujkowi również życzę – Janek”.

Przeszliśmy tam oboje niesamowite piekło, które wstrząsnęło światem. Po osiągnięciu zwycięstwa na tym kompleksie górskim, mimo wysokich strat w ludziach – ja przetrwałem w dobrym zdrowiu. Przy

wizycie lekarza zapewniali nas – mnie i jego kolegów z jego batalionu, że wszystko będzie dobrze, że będzie żył. Odwiedziłem go jeszcze dwa razy – pierwszy raz, gdy przygotowywano go do transportu do szpitala na południe Włoch, do Cassomasima, a drugi raz i ostatni na tydzień przed jego śmiercią. Pisałem jeszcze do niego list, ale list ten wrócił z dopiskiem na kopercie: „Zmarł na wskutek odniesionych ran w boju o Monte Cassino dnia 7 lipca 1944 r. Tyle o młodym żołnierzu (lat 23), który 52 dni po otrzymaniu ran i ciężkich bolesnych cierpieniach musiał oddać swoje młode życie za Ojczyznę w dalekich Włoszech, walcząc o odzyskanie wolności dla niej. Pochowany został na cmentarzu wojennym koło Bari, spoczywa tam w cieniu wysokopiennych drzew, gdzie bezustannie fale Adriatyku nucą mu melodię czerwonych maków. Mogiła jego, tak jak wszystkie inne ma ten sam wzór – betonowy krzyż z napisem: „**L/copr. Kluczykowski J. Polish Army, date of death 7 July 1944**”.

W tym samym czasie, tj. początek lipca 1944 r. jego rodzice otrzymali list od niego tej treści, że żyje i jest przy dobrym zdrowiu, niczego mu nie brakuje, tylko ciepła rodzinnego. Tak wiadomości ich bardzo ucieszyła, chociaż on już w tym czasie nie żył. List ten nosił datę grudnia 1943 roku i przesłany był przez Czerwony Krzyż, bardzo daleką drogą. Wiadomość o jego śmierci, dotarła ode mnie w czerwcu 1945 r. Pisał on w tym liście tak, jak my wszyscy – mamy się dobrze, ale słowo „dobrze” miało znaczenie zupełnie inne.

Otworzyliśmy drogę na Rzym i dalej na północ. Wkrótce Rzym został wyzwolony, we Francji i innych krajach utworzyły się nowe fronty, które powoli, ale zdecydowanie walczyły z naszym odwiecznym



wrogiem, Niemcami. Kierowały się ku Berlinowi. Temu wszystkiemu daliśmy początek – my żołnierze z 8 British Army.

Oto bilans strat: 1070 poległych w tym 4 pułkowników, wszyscy dowódcy plutonów. Rannych zostało 4-ch podpułkowników i około 20% ogólnego stanu Korpusu. Wszyscy oni spoczywają tuż przed wzgórzem „593”, jest to miejsce najbardziej zroszone krwią, krwią wszystkich narodów, które tam walczyły. Obok na wielkim spiżowym monumencie w 4-ch językach (włoskim, angielskim, francuski i polskim) znajduje się napis:

**Przechodniu powiedz Polsce,**

**Żeśmy polegli na Jej służbie.**

Po walkach nad Adriatykiem w rejonie Montowo, Osimo, Filotrano i Ostra, nasza drużyna przeszła na odpoczynek w okolice Loretto. Umożliwiono nam wszystkim wyjazdy grupowe do stolicy Włoch – Rzymu. 15 Batalion odbył w 3-ch partiach czterodniowe wyjazdy do Rzymu. Mieszkaliśmy na peryferiach Rzymu w Monteverde. Otrzymaliśmy na miejscu całodzienne utrzymanie i noclegi. Od godziny 9<sup>00</sup> do 15<sup>00</sup> zwiedzaliśmy miasto – obiekty sakralne i zabytki świeckie, jak: Colosseum, Forum Romano i inne. Z obiektów sakralnych zwiedziliśmy: bazylikę św. Pawła, św. Piotra i S. Marija Magiore. Natomiast w Watykańskiej Kaplicy Sykstyńskiej przyjął na Ojciec św. Pius XII. W momencie, gdy był wnoszony na tron przez gwardię papieską, rozległ się potężny głos wszystkich zgromadzonych żołnierzy, którzy wiwatowali na cześć papieża. Nasza grupa była najliczniejsza i przytłumiła pozostałych wołając: Niech żyje! Niech żyje! – nasz Ojciec Święty. Po zakończeniu krótkiej mowy w 3-ch językach: włoskim, francuskim i angielski, Ojciec Święty zwrócił się do nas

Polaków, mówiąc po polsku: „Polacy, wracajcie teraz do waszej ojczyzny Polski”, żegnając i wszystkich błogosławiąc dokonywał święceń pamiątkowych rzeczy nabytych w Watykanie przez żołnierzy, dotykając je swoją ręką. Gdy znajdował się w pobliżu mojej osoby, zapytał „Tu si polacco?” odpowiedziałem skromnie: „Si, io sono polacco”.

Każdego dnia oprócz piątku w godzinach od 19<sup>00</sup> do 24<sup>00</sup> przy via Panisperna w centrum Rzymu działała dobrze urządzona sala taneczna z bufetem dla żołnierzy 2 Korpusu. Przygrywała włoska orkiestra cywilna. Wiele panienek włoskich zapoznawało się pod względem matrymonialnym z naszymi chłopcami i zostało uszczęśliwione na tych rzymskich zabawach dozgonną miłością i przybywało po wojnie ze swymi mężami do swojej drugiej ojczyzny – Polonii.

Arivederci Roma!

Do zakończenia wojny było jeszcze blisko jeden rok czasu. W tym okresie staczaliśmy boje w kierunku Ankony, S. Sofija, Brizigelia i Bolonii. Nieprzyjaciel na tych odcinkach wojny był w ciągłym odwrocie. Zdarzało się często, że zażarcie opór najwyżej 2-3 dni, a pod osłoną nocy wycofywał się na dobrze zaplanowaną obronę. Bolonia była jego ostatnim bastionem walki.

Nareszcie przyszedł dzień wielkiej chwały, 9-go maja Anno Domini 1945. Dzień ten zastał nas w Bolonii, tego nie zapomnianego dnia przeżyliśmy wielką radość, strzelania na wiwat w niebo nie było końca – sprawiało ono wszystkim wielką i nie opisaną radość – Guerra Finita – KONIEC WOJNY!

Na ogólne zwycięstwo aliantów złożyło się wiele czynników, a mianowicie:

- wysokie morale żołnierza polskiego,
- chęć do walki z okupantem ojczyzny,
- dobrze zorganizowana baza zaopatrzenia naszego wojska,

oraz cztery ważne czynniki na literę „B” oto one:

1. Bailey - most przenośny. Włosi posiadają na swoim terytorium niezliczoną ilość rzek i strumieni, na których było mnóstwo zniszczonych mostów przez wroga, dlatego też sprzęt ten umożliwił aliantom szybkie przemieszczanie się wojsk w terenie.
2. Bantham - środek transportowy. Posiadał napęd na wszystkie cztery koła, dojeżdżał wszędzie pokonując wzniesienia pod kątem 45 stopni.
3. Beefcorned - konserwa mięsna. Uniwersalna żywność – czyniła żołnierza sytym i odpornym na wszystkie trudy bojowe.
4. Bristol bottle - krew skondensowana. Oddawała nieocenione usługi tysiącom żołnierzy. Po transfuzji wracało ponownie wielu żołnierzy do swych oddziałów – nieraz znowu na pierwszą linię ognia.

Od początku do zakończenia wojny brałem czynny udział na froncie włoskim, w składzie 5 KDP. Od rzeki Sangro – Monte Casino – Ankona - Bolonia. Najcięższą i najkrwawszą walkę stoczyliśmy pod Monte Casino. Nieprzyjaciel był dobrze ufortyfikowany, miał dobre pole ostrzału i obserwacji, co utrudniało atakowanie naszym wojskom. Ja,

jako młodszy podoficer – piechur sprawowałem czynności działonowego, gdy zaszła potrzeba, pełniłem funkcję obserwatora dowódcy plutonu 3 calowych M3. Mój sprzęt polowy to radiostacja wzór 38, dalmierz i telefon. Za czyny bojowe odznaczono mnie Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, brytyjskim Defence Medalem, Gwiazdą Italii i Krzyżem Monte Casino.

Z moim dowódcą – oficerem artylerii w czasie działań bojowych znajdowaliśmy się na pierwszej linii, na wysuniętym punkcie obserwacyjnym. Przekazywałem drogą radiową rozkazy dotyczące prowadzenia różnorodnego ognia, wskazywałem cele dla naszej artylerii. Gdy zachodziła potrzeba i warunki terenowe były sprzyjające – udzielałem pomocy innym, dostarczając wszystko to, co nasz żołnierz do walki potrzebował i gdziekolwiek się znajdował.

W czerwcu 1946 roku Polski Korpus przetransportowano w okolice Pompei do obozu przejściowego. Przebywały tam różne grupy oddziałów wojskowych. Kierowane były z portu w Neapolu do różnych portów w Anglii.

W Neapolu spotkałem kilku moich kolegów z rosyjskich łagrów i walk we Włoszech, z którymi bardzo długo się nie widziałem: z Jankiem Drążkowskim pochodzącym z Jakhcic k/Inowrocławia, który zamieszkał w Kanadzie, dorobił się własnego dużego domu, jest samotny, z Cześkiem Łuczakiem z okolic Żnina, on natomiast jako ojczyznę wybrał USA, mieszka w Chicago, ma własny dom, wydał już drugą córkę za mąż, powodzi mu się dobrze - nie narzeka.

Nasz statek „Mauretania” zabrał dużą grupę żołnierzy do portu w Liverpool`u, z tego portu samochodami odwieziono nas do odległej o 5,5 km miejscowości Maghull - Camp 78. Po tygodniu przerzucono

nas – całą grupę Polaków, pociągiem przez stację Preston do miejscowości Egremont w hrabstwie Cumberland. Był tam kiedyś obóz dla samotnych górników. Nie czuliśmy się tam dobrze – ciągle były gęste mgły. Po miesiącu pobytu w tym obozie zostałem wraz grupą 60 ludzi wzięty do obsługi obozu w Maughull, w który przebywali Polscy cywile. Przebywali w nim też członkowie rodzin wojskowych z Francji, Włoch, Belgii i Niemiec. Wyjeżdżaliśmy po odbiór tych ludzi do portu Dover, by im pomóc w drodze. W obozie tym byliśmy zatrudnieni: w kuchni, łaźni, pralni, kancelarii i pełniliśmy służbę wartowniczą. Komendantem był płk Kułakowski. Tu mi się podobało, miałem urozmaiconą pracę dwa razy w tygodniu jeździłem po odbiór wszelkiego rodzaju żywności do Liverpool`u. Przebywając tak często w tym dużym mieście, mogłem zawsze sobie coś kupić do ubrania odzież, czy obuwie, oraz wiele innych rzeczy. W Anglii w tym czasie jeszcze obowiązywał system reglamentacji na wszystkie towary i żywność. Chcąc coś kupić trzeba było mieć kupony, ale żeby kupić kupony to też bardzo drogo płacić. Dużą radość mi sprawiało pakowanie i wysyłanie paczek do domu, bo w Polsce rodzina na nie czekała, żadna paczką, którą wysłałem z Anglii do rodziny w Polsce nie zginęła, w jednym wypadku dotarła do dopiero po roku, ale również nie zginęła.

## **Etap IX. Powrót do kraju**

Jeszcze w roku 1946 problem Polaków został w Anglii rozwiązany, została stworzona dla wszystkich możliwość nauki języka angielskiego. Powstały kursy nauki tego języka, bez którego w Anglii ani rusz. Fachowcy – rzemieślnicy musieli zdawać egzaminy ze znajomości swojego zawodu. Drugi Korpus Polski został rozwiązany i powstała nowa nazwa: Polski Korpus Przystosowania i Rozmieszczenia, w skróci PKPR. Było to wojsko oczywiście bez broni. Było zatrudniane do wszystkich prac fizycznych na dawnym żołdzie angielskim, otrzymywaliśmy wyżywienie całodzienne i umundurowanie. Komendantem tych grup roboczych był oficer Polak. Kto nie wyraził zgody na wstąpienie do PKPR mógł emigrować, gdzie chciał, termin zakończenia przyjęcia do PKPR upływał z końcem 1946 roku. Młodszych wiekiem przyjmowano do wojska angielskiego na podstawie umowy dwustronnej na okres trzech lat.

Ja miałem już dosyć służby wojskowej i dłużej nie chciałem podporządkowywać się żadnemu dowódcy i natychmiast zgłosiłem się na wyjazd do kraju. Przechodziłem przez trzy obozy przejściowe: Staford, Glasgow i Edynburg. W ostatnim obozie otrzymaliśmy nowe cywilne ubranie, koszulę, krawat i kapelusz oraz za staż wojskowej służby na terenie szterlingowym według stopnia wojskowego został wpisany do książeczki PKO dodatek w wysokości kilku funtów miesięcznie, a ponadto otrzymaliśmy żołd według stopnia, liczącego od pierwszego dnia pobytu w Polsce za 56 dni na poszukiwanie pracy. Moje dokumenty z czasów wojny znajdują się w Archiwum Wojskowym w Londynie pod znakiem 205/III/1908/K.

Good bye dear England!

Każdy człowiek ma los swego przeznaczenia, ja gdybym nie był żołnierzem „Września”, prochu i dymu nie wachał, nie byłbym żołnierzem na Zachodzie i nie wybrałbym sobie najbliższej drogi do kraju. Ryzykować przez dwa fronty nie było łatwe – trzeba było trzymać się większej „kupy”.

Będąc na obczyźnie nikt mnie stamtąd nie wypraszał ani też nie zatrzymywał, a więc mógłbym po zakończeniu wojny emigrować, gdzie mnie oczy niosły, lecz kierując się własnym sumieniem wybrałem powrót do mojej ojczyzny, tu na mnie czekano, tu byłem potrzebny.

Na moim polu działania śmiem twierdzić, że dokonałem dużo więcej niż moi koledzy, którzy uciekali z obozów internowania przez Kłajpedę do Rzeszy i tam pracowali, a jak pracowali tam to pomagali wrogowi w jego zwycięstwu, niektórzy wrócili do domu, ale to było rzadkością. Będąc na obczyźnie w obozach miałem parokrotnie okazję powrotu, tylko nie wiem, czy do Rzeszy czy do okupowanej Polski. Przyjeżdżały do naszych obozów komisje niemieckie werbując Polaków do pracy. Nie dowierzałem ich obietnicom, wstrzymywałem się od powrotu. Utrzymywałem kontakt listowny z moją żoną przez Czerwony Krzyż Genewski, pisała mi ona „dobrze, że tam jesteś, tutaj już dawno byłbyś wykończony przez hitlerowców – na razie nie wracaj!”

Po powrocie do kraju dowiedziałem się od mojej małżonki, jak spędziła czas wojny. Pracowała na siebie i na dwoje małych dzieci u Niemca przez cały okres okupacji. Każdego dnia w godzinach wieczornych a nawet o północy ci właśnie Niemcy przychodzili ubrani w czarne uniformy jako SS-mani w ilości 7-12 osób natarczywie pukając do drzwi lub okien – głośno krzycząc – „Aufmachen Polizei”, wszyscy obecni w domu musieli wstać z łóżek i stać boso w koszulach

w zimnej izbie. Oni przeprowadzali rewizje w szafach, łózkach, szufladach – wszędzie! Gdyby zauważyli jakieś nietaktowne zachowanie wobec nich, groziło to wywiezieniem do pracy w Niemczech. To było dla naszych ludzi okropne! Tak było wszędzie u polskich rodzin w przemianowanym Procyniu polskim na niemieckie „Rehfelde”.

Piszę te wspomnienia wyłącznie dla moich wnuków i dalszych pokoleń, by czytali przeżycia dziadka w tamtych trudnych latach, latach wojennej tułaczki i walki z germańskim okupantem, latach które trwały

5 lat 8 miesięcy i 9 dni – ogółem 2078 dni.

Przepraszam Was drodzy wnukowie za błędy  
Popełnione, ja już stary miejcie nade mną względy  
Przecież nie uczyłem się tego w żadnej szkole  
Pracowałem, gdzie się dało przy cepach w stodole.

Za broną chodziłem, w cztery konie za pługiem  
Jak to jeden i więcej, fernal z drugim  
Prości ludzie – nie nauczyciele, uczyli naszego druku,  
Tak jest, poznałem go dobrze, drogi mój wnuku.

Mój wujek, miał gdzieś w piechocie syna w wojsku  
Ty znasz bracie to pismo, to napisz czysto po polsku  
W Królestwie na wsi, żadnych szkół wcale nie było  
Szlachta wzbraniała uczyć, oni mieli głos – tak było.



Po zakończeniu drugiej wojny światowej 1939 - 1945 powróciłem do kraju do rodziny w Procyniu koło Gębic, podjąłem pierwszą pracę w Powiatowym Zarządzie Drogowym w Mogilnie. Naprawiałem wszystkie drogi bite ręcznymi narzędziami, wyboje lekko powiększałem kilofem, przesiewałem tłucznie, gruby kamień na sam dół wrzucałem, klinowałem drobniejszym, zasypywałem żwirem, na koniec to wszystko zwilżałem wodą i ubijałem ręcznym, dość ciężkim ubijakiem i tak wybój po wyboju – wiele dni. Ostatnio pracowałem przez piętnaście lat w gospodarstwie pomocniczym Państwowego Technikum Rolniczego w Bielicach jako robotnik w magazynie zbożowo-paszowym, była to praca przeważnie w kurzu, z tego właśnie powodu odczuwam dzisiaj dolegliwości związane z dobrze zaawansowaną dychawicą oskrzelową – astmą. Codziennie do pracy dojeżdżałem moim własnym rowerem. Każdego dnia robiłem sześć, a czasami dwanaście kilometrów, to przez cały mój okres pracy w Bielicach – z Gębic do Bielic i odwrotnie. Przejechałem ogółem 32850 km.

## Szlak mojej wojennej tułaczki

Kraj	Pobył Od - do	Lata	M-ce	Dni	Miasta, miejscowości, obozy i tereny walk
Polska	1939	-	-	20	Obrona Ojczyzny
Litwa	21. 09. 1939 - 11. 07. 1940	-	9	24	Ukmerge, Palanga nad Bałtykiem, Vilkaviskis
ZSRR	15. 07. 1940 - 13. 08. 1942	2	1	5	Pawliszczew-Bor, Murmańsk, Półwysep Kola, Archangielsk, Wiążniki, Talica, Tatiszczewo, Taszkient, Dżałał-Abad, Dolina Fergańska, Spasowka, Suzak, Samarkanda, Krasnowock
Iran	15. 08. 1942 - 29. 08. 1942	-	-	14	Pachlavi, Hamadan, Karmanszah
Irak	30. 08. 1942 - 23. 09. 1943	1	-	23	Khanaqin, Kirkuk, Mosul, Bagdad
Palestyna	25. 09. 1943 - 29. 10. 1943	-	1	4	Beird-Dzirja, Rechowd, Gaza, Nazaret, Kana Gali. Jerycho, Betlejem, Morze Martwe, Jerozolima
Liban	30. 10. 1943 - 30. 12. 1943	-	2	0	Bejrut i okolice, Bezemzine, Trypoli
Egipt	31. 12. 1943 - 12. 02. 1944	-	1	11	Isailia, Port-Said, Quasassin, Kair, Suez
Włochy	21. 03. 1944 - 16. 06. 1946	2	3	26	Taranto, Palagiano, nad Rz. Sangro, Cassino i jeje masyw górski, Bari, Cassamasima, Piedimonte, Milano,

					Viticuso, Ankona, Bolonia, Rzym, Montoro Ripe, Predapio, Modena, S. Sofia, Pianetto, Campobaso, Neapol
Anglia	26. 06. 1946 - 22. 07. 1947	1	0	26	Machull, Liverpool, Stafor, Londyn, Dover, Ormskirk, Egremont /Cumberland/ Little-Onn, Edynburg - Szkocja

Listopad 1987 r.

*Starano się zachować pisownię oryginału.*